POLACY
W ANGLII.

NAPISAŁ

Ks. Jan Badeni T. J.

Odbitka z „Przeglądu Powszechnego“.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i Spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego
1890.

Pięć razy w bieżącym wieku wyrzuciła burza krajowych zamieszek i nieszczęść polskich rozbitków całą falą na angielskie brzegi: po upadku listopadowego powstania, po wojnie węgierskiej, krymskiej, po powstaniu styczniowem, i w ostatnich latach, po pruskiej banicyi. Wiarusi z 1831 r. znaleźli nad Tamizą, jak w całej ówczesnej Europie, sympatyę szczerą, w czynach się objawiającą, równie ze strony ludu jak i rządu, — i mówiąc w ogóle, nie zawiedli tych sympatyj, stali się godnymi okazanej sobie pomocy. Trzy następne emigracye z 1849, 1854 i 1863 r. wniosły wiele żywiołów niezdrowych, mętnych, i ostatecznie przyczyniły się nie do sławy, lecz raczej do niesławy i niechęci dla Polaków w Anglii, niechęci, która boleśnie uczuć się dała, gdy wypędzeni z Prus biedacy, rachując na dawną gościnność, zawinęli do angielskich portów. Dziś żyje ledwie paru nad grobem stojących przedstawicieli pierwszej emigracyi; nie wielu można się doliczyć uczestników węgierskiej i krymskiej kampanii, tak, że jądro polskiego wychodźtwa w Anglii stanowią niemieccy banici, nieopatrzni amerykańscy emigranci, którym w podróży do Ameryki lub w powrocie do ojczyzny zabrakło pieniędzy na dalszą drogę, i w równej mierze nieopatrzni robotnicy i rzemieślnicy przeważnie z Galicyi, którzy wybrali się do Anglii dla zarobku, dla polepszenia złej doli. Nad tymi nieszczęśliwymi, a często wprost nędzarzami, góruje kilku Polaków zamożniejszych i wy-

kształceńszych, którzy starają się wedle sił podać swym rodakom rękę pomocną; w około kręci się paru szalbierzy i awanturników, paru przybyłych z Francyi i Szwajcaryi z nazwiskami polskiemi socyalistów, usiłujących wyzyskać nędzę polską dla swych planów; pewna wreszcie choć drobna garstka, zdala od wszelkich politycznych i socyalnych teoryj się trzymając, pracuje rozumnie i energicznie na kawałek chleba, przychodzi do majątku, ale nieraz niestety! w drugiem, a bywa, że i w pierwszem pokoleniu, zapomina ojczystej mowy, dobrze jeszcze, jeżli nie wyrzeka się katolickiej wiary.

Tak w najogólniejszych rysach przedstawia się skomplikowany, a nie wesoły obraz polskiego wychodźtwa w Anglii. Jeden to z naszych najdalej na zachód wysuniętych, nie powiemy, że stracony, ale bądź co bądź, jeżli nie na stracenie, to na bardzo liczne niebezpieczeństwa wystawiony posterunek. Jaka jego siła i zadanie, jak zadanie to spełnia, z jakich składa się żywiołów, czy i o ile zachowuje język, narodowość, wiarę? — czy mieć można nadzieję, że skarby te długo jeszcze potrafi obronić przeciw parciu angielskich zwyczajów, wpływów i niechęci, przeciw stokroć groźniejszym wewnętrznym waśniom? W odpowiedzi na te ważne dla nas pytania — bo jeżli komu, to nam nie wolno lekceważyć i najmniejszej straty, nie wolno z oka i z pamięci spuszczać i najmniejszej, choćby na ostatnie kresy losem rzuconej polskiej kolonii, — spróbujemy skreślić, o ile można, dokładny wizerunek dzisiejszej „polskiej biedy“ w Anglii. Wizerunek ten opieramy na opowiadaniach i łaskawie nadesłanych lub udzielonych nam bardzo licznych notatkach i listach dawniejszych missyonarzów polskich w Anglii i dzisiejszego gorliwego ich apostoła ks. Józefa von Lassberg, na listach i sprawozdaniach, drukowanych w różnych pismach i dziennikach, i zapiskach niedrukowanych innych Polaków, którzy w Anglii dłuższy czas bawili lub bawią, szczególnie na długim szeregu korespondencyj, listów i krótszych notatek, pojawiających się regularnie od r. 1885 w petersburgskim *Kraju* [1].

[1] Ciekawe te, z widoczną znajomością rzeczy pisane korespondencye, podpisywane były przez czas dłuższy pseudonimem *Latarnik*, pod

I.

Wielu Polaków przebywa dziś w Anglii? Trudna odpowiedź na to na pierwszem miejscu nasuwające się pytanie, bo nie wyjaśniają go żadne urzędowe sprawozdania, a samo polskie lub do polskiego zbliżone brzmienie nazwisk bardzo nieraz zawieść może i zawodzi. W ogóle przyjąć można, że mieszka tu stale około trzech tysięcy Polaków[1], pewna liczba Litwinów, słabo lub zupełnie po polsku niemówiących, i dość znaczna liczba żydów, przyznających się chętnie i częściej, niżli się to zdaleka zdawać mogło, do polskiej narodowości. Z drugiej strony nie brak polskich parobków i dziewczyn, którzy zagnani głodem i pragnieniem do twardej służby u londyńskich żydów, nie wychodząc przez długie miesiące z uprzywiliowanych ich dzielnic: *Whitechapel*, *Minorics*, *Houndsditch*, figurują w statystycznych spisach jako żydzi i żydówki, aż ostatecznie, nie widząc nigdy kościoła, mowy swej nie słysząc, wciąż w żydowskich kołach się obracając, istotnie za żydów, sami nie wiedzą kiedy i jak, zaczynają się uważać. Żydzi przybierają nazwiska polskie: Kaschauer zwać się każe Kaszawskim; Linauer, Liskim; natomiast polskie Dzięcioły przerabiają się w Dancingerów; w dziwacznych, z angielska żydowskich nazwiskach nikt odgadnąć nie potrafi naszych Magd i Marysiek. Wschodnie dzielnice Londynu żydami przepełnione; zda-

---

którym ukrywał się energiczny sekretarz „Towarzystwa literackiego", znany dobrze pilnym czytelnikom warszawskich, krakowskich i lwowskich gazet, korespondent i powieściopisarz, Edmund Naganowski. Zna on i znać może dobrze Anglię, bo bawi w niej od lat przeszło dziesięciu. W roku zeszłym p. Naganowski wyjechał na krótki przeciąg czasu z Anglii, jednocześnie Latarnik zniknął ze szpalt *Kraju*, a na jego miejscu pojawili się przelotnie *I. K.*, *yz;* później opróżnioną posadę zajął tajemniczy *Never Mind*, aż w oststnim czasie znowu, na niemałą pociechę wiernych swych czytelników, Never Mind przekształcił się w Latarnika.

[1] Wedle obliczeń p. Zarjanki, na „Mapie ludów słowiańskich", umieszczonej niedawno temu w *Sławianskija Izwiestija*, cyfrę tę podnieśćby należało do 5000. Urzędowy spis samej tylko ludności londyńskiej z roku 1871 podaje 4229 Polaków; pytanie tylko, wielu między tymi Polakami jest z Polski pochodzących żydów?

rzyło się przecież, że w czasie jednego roku, jak z oburzeniem i przestrachem skarżyli się Anglicy, zleciało się ich tutaj z mniej gościnnych krajów do 14,000. Czyż można się dziwić, że polski, nieumiejący nieraz ani czytać ani pisać, chłop lub chłopka, wpadłszy do tego mrowiska, ginie w niem bez śladu; że trudno dopytać się na londyńskich tych Kazimierzach o dokładną cyfrę żydów polskich, i marniejących między nimi polskich nędzarzów - katolików; że trudno ich zliczyć i pewniejszego o nich zasięgnąć języka w Liverpoolu, Manchesterze i Birminghamie?[1].

[1] Wedle obliczeń Latarnika (*Kraj* 11 marca 1888 r.) znajduje się w Londynie na całą ludność żydowską około 5% żydów polskich, w Manchesterze $1^1/_2$%, w Liverpoolu $^3/_4$%, a w Birminghamie tylko $^1/_6$%. Ważneby to były cyfry, gdyby opierały się na jakiejkolwiek podstawie, ale korespondent czuł sam wybornie, że nie ma właściwej podstawy do takiego obliczenia, i dlatego jakość ilością pragnąc nagrodzić, aż pięć ich wyliczył. Cóż, kiedy z pięciu tych punktów pokazuje się jasno to tylko, że o rzeczywistym stosunku osiadłych w Anglii żydów z Polski do żydów pochodzących z innych krajów, nic a nic pewnego powiedzieć nam nie może. Co więcej, nawet głośne w ostatnich miesiącach, nadzwyczaj sumiennie wydane dzieło *Labour and life of the poeple*, a mówiąc dokładniej, pierwsza jego część, która dotychczas się pojawiła (*East London, edited by Charles Booth, Williams and Norgate.* London 1889), z dokładnemi datami wystąpić się nie odważa. Praca ta, bardzo cenna, do której przy innej sposobności spodziewamy się powrócić, rzuca też niemałe światło na stosunki, ciężką nędzę, straszną niewolę naszych emigrantów. Obszerny rozdział *Jewish Community* (str. 564—591), opracowany przez Miss Beatrice Potter, wylicza przyczyny, sprowadzające żydów do Anglii z „ubogich polskich i rosyjskich wiosek", wprowadza nas w sam środek żydowskich dzielnic w Londynie; maluje domy, zwyczaje i obyczaje kilkudziesięciu tysięcy polskich i rosyjskich żydów, którzy w ostatnich latach napłynęli całemi masami do Londynu, i dziś stanowią jądro tutejszej, do 70.000 członków liczącej gminy żydowskiej. — „Żydzi ci — czytamy w tem sprawozdaniu — przedstawiają, rzec można, skoncentrowane cnoty i wady, charakteryzujące plemię żydowskie... Przybywają do Londynu, nie umiejąc po największej części żadnego rzemiosła, nie wiedząc, jak się wziąć do najprostszej roboty... a jednak wytrwale pną się i niebawem wspinają się na wyższe szczeble społecznej drabiny. W bardzo krótkim czasie prześcigują swych współzawodników: szewców, krawców, stolarzów, szklarzów, kramarzy; owszem, wyszczególniają się i tam, gdzie potrzeba większej zręczności, roztropności, sprytu... Jaka przyczyna tego powodzenia; dlaczego chrześcijanie, stykający się z żydami, żywią ku nim tak

Gdyby zapytać się polskich wygnańców: co was tu sprowadziło? —jakiemi drogami doszliście od Wisły, Niemna, Warty, aż nad daleką Tamizę?—usłyszelibyśmy bardzo różne, a niemal bez wyjątku bardzo smutne odpowiedzi. Garstka weteranów z 1830 r. topnieje z dnia na dzień, dziś łatwo być może, że już zupełnie stopniała; szeregi wiarusów z r. 1849, 1854, z powstania 1863 także szybko się przerzedzają. W drugiej połowie 1887 r. londyńskie „Towarzystko literackie Przyjaciół Polski" znało i wspierało 16 weteranów z powstania listopadowego, 19 z wojny węgierskiej, 23 z wojny krymskiej, 27 z powstania styczniowego; byli zapewne i tacy, którzy wsparcia nie potrzebowali, ale tych bodaj na pięciu palcach możnaby się doliczyć. Kilkunastu Polaków dobrze się mających pozostaje w Anglii, bo w niej się urodzili, lub przybyli do niej na dłuższy lub krótszy czas dla nauki, wyćwiczenia się praktycznie w jakimś fachu, zaznajomienia się z krajem. Obok ludzi tych pracowitych, wiedzących, co ich do Anglii sprowadziło, zlatują tu raz po raz, jak zlatują do wszystkich krajów od bieguna do równika wędrowne ptaki, turyści bez celu i myśli, chyba z jedynym celem strwonienia wiele się da, czasu i pieniędzy. Wstrętne to typy, owi „trzy-

---

silną niechęć? Ponieważ dla polskiego żyda każdy środek dobry, jeśli do celu prowadzi; żadnem prawem się on nie wiąże; nie krępuje się względami na cudze dobro, gdy chodzi o zniżenie lub podniesienie cen, o zrujnowanie handlu i przemysłu... Ciało jego w wiecznym ruchu, myśl zajęta obrachowywaniem większych zysków; miłość, pycha, słowem, żadne uczucie, z wyjątkiem troski o rodzinę i o wynik „walki o byt", nie znajdują przystępu do jego duszy. Niezamącony spokój, z którym żydzi znoszą obelgi, wzgardę, poniżenie; wytrwałe milczenie, którem odpierają wszelkiego rodzaju pociski, rozjuszają tylko bardziej tłumy, widzące jasno, że żydzi z dniem każdym zyskują na sile i coraz usilniej wypierają chrześcijan z zajmowanych dotąd stanowisk".

Taki i mniej jeszcze pochlebny obraz polskich żydów w Londynie kreśli autorka, Miss Potter, która miała wszelką sposobność bliżej i dłużej im się przypatrzeć; takie same uwagi spotykamy w rozdziałach, podpisanych przez Karola Booth, Dawida F. Schlossa i innych. Wszyscy żalą się gorzko, że polscy żydzi wyzyskują dobrodusznych angielskich i irlandzkich robotników; o polskich robotnikach katolikach nie wspominają, ale milczenie to prawdziwie grobowe, przykrzejsze bodaj od najenergiczniejszych skarg i żalów.

dziestoletni staruszkowie", jak ze słusznem oburzeniem nazywa ich londyński korespondent *Kraju*[1], tromtramdaci pessymizmu, „którzy w nic i w nikogo nie wierzą, wszystko ich w życiu zawiodło, lub z pewnością zawiedzie", — a na zapytanie: „Czy pan przybył tu w jakim specyalnym celu?" „ślamazarnie, pogrzebowo, przeciągle i nudnie", naśladować chcąc może Anglików, których zresztą w niczem innem nie naśladują, cedzą przez zęby: „Ooo, nie!"

To śmietanka i szumowiny emigracyi: pierwsi z konieczności lub rzeczywistej potrzeby przybyli, wiedząc w każdym razie jasno, czego chcą; drudzy zagnani kaprysem lub nieszczęśliwą *farniente*. Właściwe jądro polskiej emigracyi składa się tu, jak składa się w Stanach Zjednoczonych, w Brazylii, w Niemczech, z biedaków, których nielitościwe prawa, lub wprost nędza wypędziły z ojczystych zagród; którym nie rachująca się z rzeczywistością, alkoholem zazwyczaj podsycona fantazya i niesumienni spekulanci wmówić potrafili, że w bogatej Anglii łatwo o kawałek już nie czarnego, lecz białego chleba. Nieraz galicyjscy zwłaszcza emigranci do Ameryki, przybywszy do Londynu lub Liverpoolu, przekonują się z przerażeniem, że na dalszą podróż grosza im już nie staje; wrócić do kraju nie ma także za co i do czego, a ratując się od śmierci głodowej, dostają się zazwyczaj do formalnej, a cięższej od babilońskiej niewoli żydowskiej. Inni mogliby się ostatecznie o kawałku suchego chleba dostać do New-Yorku, ale kompanie okrętowe nie przewożą dziś tych, którzy nie mogą się wykazać oznaczonym z góry kapitalikiem, lub pewnością otrzymania zarobku w Ameryce, a tak i ci, straciwszy, rzecz prosta, prędko przywiezione pieniądze, zamiast w Ameryce, w Anglii głód cierpią. W ostatnich znowu miesiącach sprowadzili przemyślni spekulanci kilkudziesięciu rzemieślników, głównie żydowskich krawców z Galicyi, dla stawienia oporu temi zagranicznemi a taniemi siłami szerzącemu się w Londynie krawieckiemu bezrobociu. Dorozumieć się łatwo, z jaką sym-

[1] *Kraj* 12 (24) czerwca 1887.

patyą miejscowi krawcy przywitali przybyszów: strejkujący czekali na nich już w porcie i zapoznali ich nie tylko z kocią muzyką, ale i z angielskim systemem boksowania.

Niechęci tej dla przybyszów dziwić się nie można, zważywszy, jak ciężka walka o byt, o chleb, ciągle w całej Anglii, a na pierwszem miejscu w Londynie się toczy; walka, w której wychodźcy polscy z silnemi ramionami, a wymaganiami nader małemi, są mimowoli bardzo niebezpiecznymi wrogami angielskich klas pracujących. Robotnicy angielscy skarżą się, że ich wyzyskują; jakże wołać musi o pomstę do nieba wyzysk ciągnięty z krwawego potu cudzoziemców, a między nimi na pierwszem miejscu — Polaków i Polek!? Bogaci kupcy mebli, obówia, sukni, nie wyrabiają ich nieraz we własnych fabrykach, lecz obstalowują u przedsiębiorców „pośredników“ *(nuddleman)*, których spryt polega na tem, aby zaciągnąć w swe sieci jak największą liczbę biedaków, niemających pracy, a zatem gotowych „pocić się“ — jak Anglicy obrazowo się wyrażają — za każdą cenę. Inni spekulanci, tak zwani *weaters* (zawierający kontrakta), skupują ryczałtowo na pewien przeciąg czasu i za śmieszną cenę całą pracę kilkudziesięciu lub kilkuset robotników; wyroby uzyskane odprzedają z szalonym zyskiem na angielskich lub częściej na zamorskich targach, i bogacą się nader szybko znów na „pocie“ ludzkim, za pośrednictwem *The sweating systeme*. W ten sposób szwaczka np. pracująca 16 godzin na dobę, jest zaledwie w stanie nędznie wyżyć; za suknię, za którą właściwie należałoby się jej 50 szylingów, dostanie pięć, a 45 zabierają przeróżni spekulanci i pośrednicy. Dziewczyny, pracujące u żydowskich krawców, którzy wrzekomo, przez nieograniczony szereg lat, szycia je uczą, zarabiają tygodniowo, pracując na dobę najmniej 13, a właściwie nieograniczoną liczbę godzin, 4—5 szylingów; bywają wypadki, że zarobek ten spada do 2 szylingów, 6 pennów, a nie podnosi się prawie nigdy nad 10 szyl. Dziewczyna, wyrabiająca papierosy cały tydzień i to zgrabnie i z pośpiechem, nie dochodzi zbyt często do więcej, jak do sześciu szylingów tygodniowej płacy. Między szewcami, mogącymi w ogóle

rachować na stosunkowo lepszy zarobek, wielu zdobywa sobie zaledwie 13 szylingów tygodniowym mozołem. Za godzinę nader ciężkiej, zabijającej pracy w londyńskich dokach, powinien właściwie robotnik, wedle powszechnie przyjętej zasady, otrzymywać przynajmniej sześć pennów; ale walka o byt, brak roboty zmusza biedaków do licytacyi *in minus*, do zdania się na łaskę i niełaskę „pośredników“, którzy sami następnie, wedle własnej woli i chęci, układają warunki płacy i pracy. A gdybyż przynajmniej praca przez cały rok była zapewnioną! Co najbardziej rzemieślnika czy robotnika uciska, to niemal pewność, że przez kilka miesięcy, regularnie w roku wracających, napróżno będzie o zarobek błagał, i że wtedy musi wbrew wszelkim prawom i postanowieniom podpisać formalny cyrograf, którym zaprzeda czyhającym na takie chwile głodu i zniechęcenia spekulantom, spytać tu słusznie można: ludziom, czy szakalom? swe siły i pracę, wolność, zdrowie, nadzieje lepszego zarobku, słowem, mówiąc bez przesady — ciało i duszę.

Jeźli robotnik angielski nieraz widmo głodu przed sobą widzi, jeźli wiele kobiet i dziewczyn londyńskich, wiedzących, gdzie się zwrócić, mogących się z chlebodawcami swymi rozmówić, zarabiają dosyć, aby nie umrzeć, ale nie dosyć, aby żyć, — jakiż los czeka polskich wychodźców, nieopatrznych, przerażonych złem przyjęciem, czasem i boksami, witającymi ich już w porcie, przybywających z naiwnem przekonaniem, że potrzebują się tylko w bogatym Londynie pokazać, a wielkie złote i srebrne monety same gęstym deszczem do kieszeni im spłyną. Patrząc na tę bezmyślność, gniewając się na tę do ostatnich granic doprowadzoną łatwowierność w słowa i obietnice niemal kłujących się prawie oszustów, przychodzi czasem ochota powiedzieć: „Dobrze wam tak, może was choć te boksy rozumu nauczą!“ — „Niechże mi nikt za złe nie weźmie — woła z niemogącem już pohamować się, z nieliczącem się z wyrazami oburzeniem londyński korespondent

[1] Przytoczone powyżej cyfry i daty wyjęte są z przytoczonej już książki: *Labour and life of the poeple. Part II. The trades.*

Kraju[1], — niech nikt źle nie rozumie, jeźli powiem otwarcie, że przybywająca tu polska nędza jest stanowczo i poprostu najgłupsza. Czy bowiem uwierzy czytelnik, że przybywają wyrostki i dziewczyny, nie mając wyobrażenia o kraju, o warunkach bytu, o tem, co z sobą poczną, gdy zjedzą ostatni kawał okrętowego chleba? Dodajcie, że nędza ta dziwi się niesłychanie, iż mowy jej nikt nie rozumie. Dodajcie fakt najsmutniejszy: ludzie ci są absolutnie przekonani, że dbać o nich jest czyimś obowiązkiem, tylko nie wiedzą czyim! Wyszli z kraju. Dlaczego?—Ten i tamten uciekł przed służbą wojskową, ta i tamta chce „jachać do chłopa“, który przed rokiem, lub przed trzema i więcej laty „na Lundyn jachoł“. Ale więcej jest takich, którzy zapytani o powód wyjścia z kraju (mianowicie z gubernii lubelskiej i suwalskiej, z pod Tarnowa, Krosna, Sącza i Przemyśla, wreszcie z okolic Torunia) odpowiadają z uśmiechem, że „przecież tu pewnie lepiej!“ Czy ludzie ci znają jakie rzemiosło? Gdzie tam! Najwięcej z nich „robiło przy kolei“; ten i ów był najprzód ślusarzem, potem rymarzem, a potem był „w fabryce“; dziewczyny były w służbie — gdzie?—„U żydów“. Do żydów też wracają; a raz oplątani głodem, długiem, groźbą, rosnącą nędzą — już tam pozostają, nie mając dość energii, dość sprytu, dość odwagi, by uciec z *Whitechapel*, udać się do konsula i wrócić między swoich. Po pruskich rugach krawiectwo i szewstwo żydowskie w Londynie poznało wartość polskich helotów; dziś zapewne ogląda się za sposobami zwabienia tu dobrowolnych wygnańców...“

Tragiczne przygody, które zapędziły wielu tych nieszczęśliwych do znanej sobie dawniej ledwie z imienia Anglii, stanowićby mogły czasem treść ciekawej, a wzruszającej do głębi nie na bujnej fantazyi, lecz na smutnej rzeczywistości osnutej powieści. Tak np. w połowie 1887 r. przybyła do Londynu wdowa, Anna Muszajtys, pochodząca z gubernii siedleckiej, z trojgiem dzieci[2]. Wybrała się ona właściwie do Ameryki

[1] *Kraj* z 3 (15) listopada 1889.
[2] *Kraj* z 11 (23) września 1887.

do szwagra, osiedlonego w stanie *Michigan*, nie mając widocznie najmniejszego wyobrażenia, gdzie ta Ameryka leży, jak do niej daleko, jakich potrzeba środków, by się dostać do tej ziemi obiecanej, mlekiem i miodem płynącej. Już dla przedostania się do Galicyi trzeba było przezwyciężyć wiele, a niemałych trudności, zwłaszcza gdy wszystkie zapasy podróżne ograniczały się na małem zawiniątku i kilkunastu rublach. Pierwsza galicyjska wieś, na którą natrafiła nasza pielgrzymująca rodzina, odznaczała się niezwyczajnem miłosierdziem; poczciwi włościanie gościli ją w swych chałupach z kolei po dni parę, a ksiądz zapowiedział w kościele składkę, która stosunkowo dość znacznie podreperowała finanse biedaków. Tutaj też poznała się Muszajtysowa z dwoma włościanami, wybierającymi się również za morze, i pod ich opieką dojechała do Hamburga. Opiekunowie rozrzewnieni, że z Europą przychodzi im się pożegnać, upili się i nie zdążyli na czas na pokład; Muszajtysowa znów z dziećmi tylko znalazła się na londyńskim bruku, i dowiedziała się z przerażeniem, że ponieważ nie może się wykazać środkami, zapewniającymi jej utrzymanie w Ameryce przynajmniej przez sześć tygodni, przeto o dalszej podróży do New-Yorku ani mowy być nie może. Nadomiar złego nieszczęśliwa nie umiała ani słowa po angielsku, a o miejscu pobytu swego szwagra wiedziała tylko tyle, że znajduje się ono gdzieś w „Muchygony“ *(Michigan)*. Wyboru nie było: trzeba było zgodzić się na propozycyę oczekujących na takie ofiary polskich żydów, i tem się pocieszając, że można się z kimś przynajmniej rozmówić, przyjąć u nich robotę czy służbę. Po kilku miesiącach zakupiony w Hamburgu bilet do New-Yorku stracił wartość, a nieszczęśliwa i jej dzieci, jeźli dotąd żyją, to pracują na swych panów w *Whitechapel*, szwargocą żydowsko-angielskim dyalektem; o wydobyciu się z tego zaklętego koła spodziewać się ani marzyć nie mogą.

Jeden to, przypadkiem na jaw wydobyty obrazek, a wiele w Londynie, wiele w Anglii takich Muszajtysowych i Muszajtysów; takich drobnych dzieci, rzuconych od piersi matki w przepaść nędzy i moralnego zepsucia, w wir społeczeństwa

obcego językiem, wiarą, narodowością; starców, którzy kawałka chleba do ust włożyć nie mają. Nędza polska w Anglii, jak ją malują londyńscy korespondenci w szeregu listów, które z miesiąca na miesiąc raczej coraz czarniejszą niż weselszą przybierają barwę, jest w tej chwili ogólną i głęboką[1]. Wystawieni są na nią starcy przeszło 80-letni, gdyż wiek i kalectwo lub choroba nie pozwalają im zarabiać na życie sobie i rodzinom; opłakany, bolesny jest los wydalonych z Prus i Księstwa, gdyż są to po największej części rolnicy, którzy nie znają języka i są pod każdym względem tak bezsilni i bezradni, jak niemowlęta; opłakany los Polaków osiadłych w Anglii od lat dwudziestu i więcej, a którzy z zarobku, jeźli jaki mają, żadną miarą utrzymać się nie mogą. Zajmują się szyciem pantofli, „są przy szliprach", jak się sami wyrażają, lub wyrabiają laski, a cały ich tygodniowy zarobek wynosi przeciętnie sześć szylingów... Najgorzej się mają kobiety: nie rozumieją ani słowa po angielsku, nie znają żadnej innej pracy, prócz prania i szorowania pokojów. Zapytane, gdzie ich mężowie, odpowiadają: Mąż oddawna w Ameryce, pojechał tam znaleść pracę, nic jeszcze nie pisał, nie wiadomo, czy żyje, a oto dzieciska z głodu chorują, żydzi w *Whitechapel* cały dzień każą prać i szorować za łyżkę strawy... „I cóż ja biedna kobieta mam z sobą zrobić?"

I znowu parę przykładów z kilku ostatnich lat, parę sylwetek polskich biedaków, z pośród wielu innych na chybił trafił wybranych, okażą najlepiej, że skargi te i żale nie są tylko poetycznemi, na wzbudzenie litości obrachowanemi jeremiadami.

Aleksander Rokosowski[2] lat 73 (w r. 1887), wychodźca z przed lat 54, był we Francyi, gdzie pobierał pensyę rządową aż do upadku Ludwika Filipa. W r. 1848 przybył do Anglii. Świadectwa bardzo piękne dowodzą, że był w służbie admirała Kennedy'ego, admirała Mac-Clintock'a, baroneta A. Kep-

[1] *Kraj* 20 lutego (4 marca) 1887.
[2] *Kraj* 20 lutego (4 marca) 1887.

pel'a, nakoniec kucharzem pułku w Irlandyi. Kiedy pułk przeniesiono do Egiptu, Rokosowski utracił służbę i już jej nie znalazł nigdzie, „bo jest za stary". Człowiek rzetelny, prawy, nie bez wykształcenia, znalazł się bez przytułku, bez kęsa chleba...

„Antoni Zalatyński [1], przybyły do Anglii po wojnie węgierskiej, żonaty, ma sześciorgo dzieci: dwoje z nich pracuje na prowincyi, syn najstarszy jest głuchoniemy. Zalatyński miał zajęcia w fabryce aż do ostataiej zimy (r. 1886); w styczniu niemiec nabył fabrykę i oddalił z niej trzecią część robotników angielskich, przyjmując Niemców;—Zalatyński stracił chleb. Pracował potem gdzie mógł, aż w marcu spadł z rusztowania i ciężko skaleczył sobie nogę. Od tego czasu żona, jak mogła, pracowała na utrzymanie całej rodziny. Co tylko było w domu ruchomości, przeszło do lombardu. Dnia 5 sierpnia (1886 r.) przyszedł nieszczęśliwy Zalatyński do biura towarzystwa „Przyjaciół Polski", przyszedł piechotą aż z Woodford, przedmieścia odległego o 12 mil angielskich, i ze łzami błagał o zachowanie go z rodziną od śmierci głodowej. Czyż można mu powiedzieć, by szukał dachu i strawy w domu pracy? Tam go rozłączą od żony i od dzieci; jakiż będzia los tych ostatnich? Sekretarz „Towarzystwa" [2] mógł mu z kasy dać tylko pięć szylingów; wystarczy to na... jeden tydzień. A potem?"...

„Michał W... [3], wychodźca z przed lat 22, były uczeń wszechnicy petersburskiej, dobrze urodzony i wychowany, ożeniony z Polką, również przyzwoicie wychowaną, do takiej doszedł nędzy, że z piwnicy, gdzie miał kąt jeden, wychodzić nie mógł dla braku odzienia. Był on kupcem, miał trzy sklepy w Londynie; przed dwoma laty ucierpiał znaczne straty i odtąd już coraz mu się gorzej wiodło, aż poręczywszy za przyjaciela pożyczkę, został przez niego zawiedziony, wpadł w szpony lichwiarzy i wyszedł z nich... honorowo, ale nagim. Żona mogłaby dawać lekcye gry na fortepianie, ale nie z piwnicy..."

---

[1] *Kraj* 10 (22) sierpnia 1886.
[2] E. Naganowski, a zatem sam korespondent.
[3] *Kraj* 10 (22) sierpnia 1886.

„W ostatnim czasie — ~~opowiada w łaskawie udzielonych notatkach znajomy już nam misyonarz, O. Józef von Lassberg.~~ — poznałem znowu bardzo poczciwą i bardzo ubogą rodzinę z Poznańskiego. Biedacy ci zamierzali wywędrować do Ameryki i dostali się już nawet do jednego z amerykańskich portów. Tutaj zapytał ich komisarz rządowy, dokąd się zemierzają udać i wiele mają przy sobie pieniędzy. Na pierwsze pytanie nie wiedzieli, co odpowiedzieć; na drugie wiedzieli aż nadto dobrze: byli, rzec można, bez grosza. Komisarz stosownie do nowych rozporządzeń, nie pozwolił wylądować jak im, tak wielu ich towarzyszom i rodakom, którzy w tem samem znajdowali się położeniu, i odesłał wszystkich przymusowo, ale nie do Hamburga, zkąd byli odpłynęli, lecz do Liverpoolu. Tu wyrzucono ich na brzeg. Nikt z całej rodziny, składającej się z ojca, matki i dwojga drobnych dzieci, nie umiał ani słowa po angielsku; z nikim nie można się było rozmówić, kawałka suchego chleba nie było za co kupić. Kilka ubogich sprzętów, przysposobionych na amerykańską drogę, zawiniątko z najniezbędniejszem ubraniem, z bielizną, przeszły w najkrótszym czasie w ręce żyda, jako zastaw za kilka pożyczonych szylingów. Żona i dzieci pójść musiały do domu pracy; mąż, jak tylu innych, którzy napróżno gdzieindziej o kawałek chleba kołatali, znalazł nędzny zarobek w Winsford przy warzonkach soli, należących do p. X..., Niemca, pochodzącego z Gdańska. Pracowało tu ciężko przez wiele już lat z rzędu przeszło stu Polaków, bardzo źle płatnych, tulących się na noc w zimnych norach raczej, niż mieszkaniach. Nasz biedak dziękował jednak Bogu, że jakąś stałą dał mu znaleść robotę, a zapobiegliwością i oszczędnością doprowadził do tego, że niezadługo mógł do siebie sprowadzić żonę z dwoma starszemi dziećmi i trzeciem niemowlęciem, które na angielskiem wygnaniu na świat przyszło. Tymczasem z dniem 1 listopada 1888 roku warzonki w Winsford przeszły na własność londyńskiego „Związku solnego“, a zarząd związkowy wypędził bez miłosierdzia w połowie marca 1889 wszystkich bez wyjątku Polaków. Niektórzy udali się do Manchester i powpadali tu przeważnie

w ręce żydowskie; innych spotkał ten sam los w Liverpoolu; inni jeszcze wywędrowali do Szkocyi lub do Ameryki. Między wygnanymi znajdowała się naturalnie i nasza rodzina; szczęściem mozolną pracą zaoszczędzili oni sobie tyle pieniędzy, że mogły one im wystarczyć, jak się przynajmniej spodziewali, na powrót do rodzinnego kraju. Odtąd straciłem ich z oczu; nie wiem więc, co się z nimi stało, czy i gdzie uzyskali prawo pobytu, czy i gdzie znaleźli przytułek, pracę, zarobek?"

Smutne te obrazki przedstawiają wspólny los i życie trzech pokoleń w Anglii: z biedą walczących starców z listopadowego powstania, mężów w sile wieku z późniejszych wojen; rodzin całych, bezsilnych kobiet, dzieci z Prus wyrzuconych. Naturalnie przesadą byłoby twierdzić, że nikt z tego morza nędzy na wierzch nie wypływa, i że każdy Polak musi już tem samem z głodu w Anglii przymierać, jeśli nie umierać. Pewnej, co prawda stosunkowo szczupłej liczbie, dzieje się dość dobrze; nie wielu, bardzo niewielu nawet zupełnie dobrze. Szczęśliwych tych wybrańców fortuny spróbował przed trzema latami wyliczyć korespondent *Kraju* [1]. Znajdowali się wówczas, a więc i dziś z wyjątkiem może paru, których od tego czasu śmierć zabrała, z dodatkiem paru, którym szczęście tymczasem się uśmiechnęło, znajdują się w Anglii następni zamożni, znani i poważani Polacy:

Spirydyon Kliszczewski, pierwszy złotnik w Cardiff, weteran z 1831 roku. Kotyra i Iwicki, mechanicy, założyciele i właściciele — również w Cardiff — fabryki narzędzi matematycznych. Trębicki, właściciel jednej z największych fabryk tytoniu w Brystolu. Jan Figórski, żołnierz z kampanii węgierskiej, fabrykant szkatułek toaletowych, podróżnych i salonowych w Sheffieldzie. Tamże zajmuje Wład. Lisowski posadę zarządcy jednej z głównych rękodzielni nożowniczych, a pan Rejowski jest właścicielem wielkiego sklepu towarów kolonialnych. Wielki i pieniężny świat londyński zaopatruje się w futra u p. Nowakowskiego, fotografuje się u Walerego (hr. Ostro-

[1] *Kraj* 18 (30) września 1887 r. i nr. z 5 (17) sierpnia 1888.

roga), fryzuje się u p. Sobocińskiego. Leon i S-ka (Leon Kokociński), najpierwszy zakład optyczny i okulistyczny, zrujnował najstarsze firmy stołeczne. P. Gutowski wystawia w swem oknie perły i dyamenty bajecznej wartości; p. Gettlich ma fabrykę wyrobów bambusowych; p. Seweryn Wielobycki i Wiktor Jagielski, weterani z r. 1831, mają szeroką sławę w zawodzie lekarskim... Książe Michał Woroniecki założył w roku 1887 na współkę z p. Deutschmanem dom handlowo-przemysłowy, uskuteczniający wszelkie transakcye przemysłowe między Anglią a Rosyą i Królestwem. Książę, młody, pełen energii, tytułu swego nie używa, unika towarzystwa wielko-światowego, pracuje od rana do nocy w biurze agentury, sam chodzi za interesami firmy i klientów. W świecie artystycznym odznacza się Edward Geflowski, rzeźbiarz, którego dzieła zdobią pałace radżahów indyjskich i londyńskie pustelnie starych kawalerów wojskowych. P. Brodowski, fortepianista i p. Poznański, skrzypek, używają niemałego wzięcia. „Profesorów“, t. j. guwernerów i umiejących się rozmówić kilkoma językami znajduje się kilkunastu, rozrzuconych przeważnie po prowincyi.

Jakie przeszedł przygody, jakie stoczył walki każdy z tych dzisiejszych wybrańców fortuny, jak długo Anglia była im macochą, zanim matką się stała?—jak długo, jak ciężko czekać było, zanim pierwszy jaśniejszy promyk przebił się przez gęstą mgłę angielską?

Wielki, ciekawy, nieraz bardzo pouczający tom złożyćby można z pewnością z opowiadań odpowiadających na te pytania. Dzisiejszy np. naczelny dyrektor angielskich kolei żelaznych w Indyach, Adam Biernacki, przybył do Anglii mniej więcej przed trzydziestu latami, obrał sobie inżynierski zawód, a choć niemałe okazywał zdolności i po angielsku wybornie się wyuczył, a co do energii i wytrwałości z każdym Anglikiem mógł iść o lepsze—trudno mu było jako cudzoziemcowi o dobrą, stałą posadę. Dla dopomożenia karyerze przedzierzgnął się więc pewnego pięknego poranku z Biernackiego w Thompsona, i odrazu szybszym krokiem stąpać począł po ścieżce, wiodącej do znaczenia i pieniędzy. Doszedłszy niemal

do jej szczytu, zmienił znów przed wyjazdem do Indyj Thompsona w Biernackiego, i jako taki króluje nad indyjskiemi kolejami. Doskonały ten „swojak“ wykształcił sześciu synów w Glazgowie; najstarszy dopomagał mu już przed paru laty w Lahore.

Innymi środkami poszedł rzutki, energiczny, umiejący, — jakby raczej amerykańska, niż słowiańska krew w nim płynęła — i pracę i spryt i humbug wprządz do swej służby, wspomniany już powyżej Leon Kokociński, rodem z Kępna w W. Księstwie Poznańskiem. „Chłopcem szesnastoletnim[1] wyjechał on do Ameryki; po latach piętnastu przybył do Londynu z majątkiem, zawierającym się w patentowanym wynalazku ulepszonych okularów. Minerał, dostarczający szkła, znalazł sam Kokociński w swych peregrynacyach na dalekim zachodzie; wynalazł ulepszoną procedurę szlifowania szkieł, a nadto nowego rodzaju oprawę okularów, łatwo dopasującą się do każdego nosa. Okulary te zyskały rozgłos wielki na wystawie indyjsko-kolonialnej, i odtąd zupełnie opanowały targ specyalny optyków stolicy. Roku 1887 firma Leon i S-ka widząc swój „interes“ optyczny bezpiecznie rozwinięty, zwróciła uwagę w innym kierunku; p. Kokociński zaznajomił się z indyjskim „doktorem“ Sequah, wynalazcą (w Ameryce) przesławnego lekarstwa, uzdrawiającego wszelkie choroby, niemoce, a nawet kalectwa; lekarstwo to znanem jest między dzikimi szczepami zachodu pod specyalną nazwą „stepowego kwiatka“. Nasz rodak sprowadził tedy „doktora“ do Anglii, kupił od niego patent na Europę, zawarł z nim kontrakt grubo płatny, mocą którego indyjski znachor przechadza się po ulicach miasta Portsmouth w kawalkacie autentycznych Indyan, i rwie zęby publicznie, bez honoraryum, a tak zręcznie, że, jak twierdzi p. Kokociński, nawet ludziska ze zdrowymi zębami dopraszają się operacyi. „Dwieście zębów na godzinę! — głoszą plakaty p. Leona — butelka „stepowego kwiatka“ zadarmo każdemu chrześcijaninowi!..“ Odstępując od dróg utartych, p. Leon reklamę

[1] *Kraj* 30 października (11 listopada) 1887.

zaczyna na prowincyi, a w Londynie ma laboratoryum, w którem pracuje około pół setki dziewczyn. Zapytałem go — opowiada wciąż znany nam Latarnik — co sam sądzi o cudownym leku? — „To samo — odpowiedział — co sądzą inni wynalazcy patentowanych pigułek i płynów o swoich artykułach: niema w nim nic szkodliwego; nie zabija on nikogo, a zysk daje „solidny", bez kosztów dla wynalazcy".

Bez nauki, bez amerykańskiej reklamy, która nam tu w Polsce do serca i przekonania jeszcze niekoniecznie trafia, lecz poprostu ciężką pracą rąk, sumiennością i oszczędnością doszło paru, może kilku rodaków naszych do jakiego takiego mienia. Oto wdzięczna sylwetka jednego z tych niewielu, co powinni byli dawno w nędzy utonąć, a jakby cudem na powierzchni się utrzymali [1].

„Przed kilku dniami przyszedł do mnie Ignacy Kuć. W lipcu zeszłego roku (zatem 1886 r.) wyświadczyłem mu był pewną pomoc; sądziłem przeto, że przyszedł w jednym z takichże interesów.

— No i cóż powiecie, panie Ignacy? — spytałem.

— Taj panie — rzecze — kobieta w Mińsku z dzieciskami jak ostała, tak ostała... pewnie i jeść czego nie ma. To ja ot przyniósł szelągi, coby je pan kobiecie posłał, że to jej trocha pomoże, a mnie bez niej na nic...

„Szelągów" było pięćdziesiąt, czyli rubli 25 podług kursu; posłużyłem Kuciowi za sekretarza, bo on niepiśmienny, i doniosłem pani Ignacowej, że mąż pracuje przy kolei żelaznej, zarabia po ośm szylingów tygodniowo, ma nadzieję zarabiać więcej, i w tej nadziei widzi możność sprowadzenia jej do Anglii z dzieciskami. Kuć został wydalonym przez Prusaków z pod Inowrocławia, żona dostała się do rodziny w Mińsku, a on wędrując, dotarł do 8 szylingów tygodniowo w kompanii London-Chatham-Dover. Pod Innowrocławiem był kuśnierzem".

Nieliczna jest garstka Polaków dobrze się mających; bardzo liczne powody pchają największą część wychodźców

[1] *Kraj* 12 (24) czerwca 1887.

w objęcia nędzy, a co niemniej smutna, ciągną, rzec można, wszystkich z siłą, której nie wielu tylko skutecznie oprzeć się jest w stanie, do wynarodowienia się, do przybrania angielskich nazwisk, zwyczajów, języka, nieraz anglikańskiej religii, lub gorszej od niej obojętności dla wszelkiej religii. Głównymi powodami, dla których prąd ten, z samej natury rzeczy aż z zbyt wielką siłą płynący, z silniejszą jakąś zaporą się nie spotyka, to najprzód smutny fakt, iż i tu, na dalekiej obczyźnie, Polak nie zawsze Polakowi bratem, — a zatem: brak łączności, rozdzielenie w różnych kierunkach i tak nader szczupłych sił, spory i rozterki, przypominające osłabionym echem dawne kastowe walki, rozdzierające emigracyę paryską; następnie nieprzychylne, często wręcz wrogie usposobienie Anglików dla wszystkieh, którzy noszą obce nazwisko i zupełnie poprawnie po angielsku się nie wyrażają, w szczególności dla Polaków, o których krąży po dziennikach i broszurach, z parlamentarnych i nieparlamentarnych trybun, tyle krzywdzących wieści; wreszcie — *last but not least*, — brak polskich księży, utwierdzających we wierze, otrząsających i chroniących przed religijnemi i moralnemi niebezpieczeństwami; brak wszelkiej ochrony dla wiary i niewinności, dla przekonań i ideałów, z tylu trudnościami dotąd ustrzeżonych, z takiem nieraz heroicznem męstwem wyniesionych z ojczyzny.

Na brak łączności gorżko uskarżają się wszyscy, którym leży na sercu los polskiej kolonii w Anglii. „Są tego rozmaite przyczyny. Przedewszystkiem w łonie ogromnej większości Polaków nikną węzły rodzinne; rzadko który utrzymuje jakie stosunki z familią, pozostałą w ojczyźnie. Czy powodem tego jest opieszałość, czy ubóstwo tak smutne, że i na marki do listów nie starczy, czy wreszcie zobojętnienie, nie widzące, dlaczegoby krewnym i dalekim przyjaciołom przypominać się, dość, że ~~faktycznie~~ niewielu słyszy głos swoich i niewielu też daje słyszeć o sobie. Następnie większość jest bezżenną, a mniejszość ożeniona z Angielkami; brak zaś kobiet polskich wpływa nadzwyczaj na ogólną apatyę niemal do wszystkiego, co powinno stanowić właściwe potrzeby kolonii. Robotnicy

Polakami w ... brak łącz-

spotykają się po szynkach, lecz pomijając już smutną okoliczność miejsca, wstydząc się używać publicznie swego języka, mówią między sobą po angielsku. Pism polskich nie czytują, o kraju nic nie wiedzą, zajmują ich tylko sprawy osobiste i miejscowe; te ostatnie pojmują i nad niemi rozumują w sposób najprostszy, opierając się na pojęciach, wyniesionych z własnych zaścianków. Wreszcie fakt trzeci jest bezwątpienia najgłówniejszą przyczyną rozstroju między Polakami: nieszczęsne krzykactwo, nawołujące do jakichś organizacyj, które z początku dużo obiecują, a w końcu — i to w końcu zawsze spiesznym — zostawiają po sobie więcej złego niż dobrego... Polak porządnie ubrany, a do tego mówiący spokojnie i do rzeczy, staje się odrazu „arystokratą“; „demokrata“ jednakże tak długo tylko używa pewnego zachowania, póki jest niezdarą: niech okaże nieco sprytu, lub niech tylko dobije się lepszego zarobku, okrzyczanym będzie za człeka podejrzanego — jeśli nie gorzej. W zamian — prawdziwi hołysze pozostają nietknięci. Naprzykład: człowiek notorycznie znany jako były towarzysz fałszerzy banknotów, sam fałszerz, który przesiedział pewną liczbę lat w więzieniach angielskich, głoszący, iż fałszował banknoty w intencyi patryotycznej, — został członkiem „Towarzystwa demokratycznego“; koledzy jego nie wiedzą zapewne, że były fałszerz jest od dziewięciu miesięcy agentem policyi, i że w tym charakterze był na początku tego roku (1888) wysłany do Szwajcaryi dla wytropienia nowej szajki fabrykantów“.

Choćbyśmy przyjęli, że piszący te słowa skreślił je w chwili zbyt słusznego oburzenia na paru Polaków, wstyd polskiemu imieniowi przynoszących, i że wskutek tego oburzenia, lub w ogóle może zbyt czarno patrzy na ludzi i rzeczy, — to zawsze jeszcze w ogólnych, niewątpliwie smutnej rzeczywistości odpowiadających zarysach, bardzo posępny to obraz. Towarzystwa, związki, kółka polskie, których głównie zadaniem z natury rzeczy łączyć rozprószone żywioły, „cieszyć się i leczyć!“, wolą niestety! a przynajmniej niektóre z nich, często i długo wolały „wzajem siebie smucić i kale-

czyć". Tem to smutniejsze, że polskie te towarzystwa, to tak w Anglii, jak we Francyi, w Niemczeh, w Ameryce, jak wszędzie, gdzie znaczniejsza liczba wychodźców się znajduje, jeden z najsilniejszych wałów obronnych przeciw zcudzoziemczeniu: że wielu jedynie z ich pomocą może się czegoś dowiedzieć o kraju, przypomnieć sobie choć od czasu do czasu, jak polska książka lub dziennik wygląda, jaki dźwięk wydaje polska mowa. Wielkie to i piękne zadanie, i nie należałoby go mącić przypominaniem, jak wygląda polska niezgoda; należałoby wzmacniać raczej i rozwijać dawne, niż tworzyć nowe, na śmierć zazwyczaj od urodzenia skazane kółka i kółeczka. Kółka te dla samej już zbyt szczupłej liczby członków, a tem samem zbyt szczupłych środków, nie mają racyi bytu, nic robić, w niczem nikomu pomódz nie mogą, a po pierwszej uczcie, czasem jeszcze po drugiej w pierwszą rocznicę założenia, żyć przestają, choć nikt nie umie oznaczyć właściwej chwili ich zgonu.

II.

Pierwszem i z wieku i z urzędu i ze znaczenia jest „Towarzystwo literackie“, złożone w zasadzie z „przyjaciół Polski“, Anglików, ale do którego w rzeczywistości, w ostatnich zwłaszcza czasach, należą przeważnie, a bardzo przeważnie o losy i interesa jego się troszczą, zamieszkali w Londynie Polacy. „Towarzystwo“ ma za sobą przeszło półwiekową, zawsze piękną, na początkowych kartach nawet świetną historyę. Założył je[1] w r. 1832 słynny poeta Tomasz Campbell, o którego więcej niż przyjaźni dla Polski i Polaków dać mogą wyobrażenie wiersze, umieszczone w poemacie *Rozkosze nadziei:*

Niech grom we mnie uderzy — i żywota zdroje
Niech ze zbytku radości we mnie bić przestaną
W dniu, który znów dla Polski zabłyśnie wygraną!

Głównym celem „Towarzystwa“ miało być — jak mówił pierwszy artykuł regulaminu — podejmowanie starań przez rozszerzanie potrzebnych wiadomości ku ciągłemu utrzymywaniu

---

[1] Por. *Przegląd Poznański* z r. 1848. Tom VII, artykuł: „Polityka Anglii w czasie ostatnich wypadków w Poznańskiem“, pochodzący niewątpliwie z pod pióra, znającego Anglię, jak bodaj kto drugi z Polaków, starszego Stanisława Koźmiana. Następne szczegóły o założeniu i pierwszej epoce „Towarzystwa“, oparte są przeważnie na tym i na następnych artykułach, w *Przeglądzie Poznańskim* umieszczonych.

żywej sympatyi dla sprawy polskiej; nazwano je zaś „literackiem“, ponieważ zajmować się miało nie politycznemi sprzysiężeniami, lecz obznajamianiem Anglików z historyą, literaturą, potrzebami i nieszczęściami Polski. Na wezwanie Campbella zapisało się odrazu w szeregi „Towarzystwa“ stu kilkudziesięciu najznakomitszych angielskich magnatów, artystów, literatów. Za przykładem stolicy utworzyły się niebawem podobne stowarzyszenia w Birmingham, Warwich, Hull, w Glasgowie, Edynburgu. Członkowie z Hull wydawać zaczęli peryodyczne czasopismo *The Hull Polish Record;* członkowie londyńscy pismo *Polonia.* W r. 1834, gdy Campbell zmuszony chorobą ustąpić musiał z krzesła prezesa, miejsce jego zajął jeden z najbogatszych członków parlamentu, lord Tomasz Wentworth Beaumont, który przez lat dziesięć wydawał kosztem swym kwartalnik *The British and Foreign Review*, głównie sprawę polską mający na oku.

Właściwym jednak przewódcą, a raczej — jak dosadnie a prawdziwie się wyrażono, — „całem niemal towarzystwem w jednej osobie“, był od tego już czasu lord Dudley Coutts Stuart, noszący przez długie lata skromny tytuł jednego z czterech wiceprezesów, a w r. 1848, po śmierci Beaumonta, wybrany prezesem. Gorętszego, czynniejszego przyjaciela Polaków, opiekuna polskiej emigracyi, znaleść nie można było; bronił on niejednokrotnie naszej sprawy w parlamencie; protestował przeciw bombardacyi Krakowa i poznańskim rzeziom; ułatwiał Polakom wyjazd do Ameryki, gdzie łatwiej niż w Anglii na kawałek chleba mogli sobie zarobić; napierał u rządu i wyrabiał rok rocznie znaczne wsparcie dla polskich wychodźców. Nie brakło mu przeciwników; zarzucano mu, że nie powinien cudzoziemcami się zajmować, gdy tylu Anglików z głodu umiera;[1] — ale ten prawdziwie, a nie z tytułu tylko szlachetny lord, nigdy i niczem zrazić się nie dał od wypełniania — jak pięknie o nim się wyraził słynny angielski poeta i histo-

---

[1] List Lorda Dudleya do ks. Wład. Czartoryskiego pod datą 8 czerwca 1850 (*Przegl. Pozn.* t. X, str. 779).

ryk Walter, Landor — „dobrowolnie przyjętego na siebie urzędu obrońcy nieszczęśliwych i uciśnionych“. W r. 1853 lord Dudley wyjechał do Turcyi, by przekonać się, czy i o ile da się wyciągnąć jaką korzyść dla Polaków z gromadzącej się na Wschodzie burzy; a we wrześniu roku następnego, znowu głównie w interesie Polski wybrał się do Szwecyi. Tutaj w Sztokholmie zabrała go śmierć 17 października 1854, śmierć, która dla Polaków w ogóle, — jak współczesne pisma, i polskie i zagraniczne jednomyślnie podniosły — ale w szczególności dla biednych Polaków w Angli, była „klęską publiczną“ [1].

Ze śmiercią lorda Dudleya, kończy się na długo — bo powiedzieć nie chcemy: niepowrotnie, — świetny okres historyi „Towarzystwa literackiego“. Jeśli jeszcze za życia tego naszego wiernego przyjaciela topnieć zaczęły sympatye, a wespół z sympatyami hojność Anglików, — to gdy go nie stało, sympatye, a bardziej jeszcze i szybciej hojność, schodziły do bardzo drobnych, coraz drobniejszych rozmiarów. Następcy Dudleya w prezesowskiej godności: szambelan królowej, lord Breadelban, margrabia admirał Fownhend, lordowie: Ilchester, Kinnaird, Houghton, Lytton, choć brali na seryo przyjęty obowiązek, to innemi zajęciami i urzędami obciążeni, faktycznie mało mu czasu mogli poświęcić. W ten sposób rzeczywistymi zarządcami Towarzystwa byli sekretarze - Polacy:

[1] Por. *Przegląd Poznański*, t. XX, str. 335 np.; t. XXII, str. 455 np. Lord Dudley wziął w opiekę w ostatnich latach życia rewolucyonistów węgierskich i włoskich, i odzywał się wielokrotnie przeciw Ojcu św. Rzuca to cień na jego życie, na przekonania, na pobudki, dla których Polakami się zaopiekował; nie można jednak zapominać, że był on nie katolikiem, lecz protestantem i angielskim „radykałem“, który bodaj czy sobie z europejskiego radykalizmu zdawał dostateczną sprawę, — a zarazem szwagrem głośnego wichrzyciela, księcia Canino (Lucyana Bonapartego). Bądźcobądź dla Polaków robił i zrobił, najzupełniej bezinteresownie, bardzo dużo dobrego, i za to pamięć i wdzięczność mu się od nas należy. W archiwum londyńskiego „Towarzystwa literackiego Przyjaciół Polski“ znajduje się z pewnością obfity materyał do skreślenia obszerniejszego życiorysu tego naszego przyjaciela; gdyby który z Polaków bawiących w Londynie chciał tej pracy się podjąć, wystawiłby Dudleyowi Stuartowi należący mu się dawno od nas, a najodpowiedniejszy pomnik.

Major Karol Szulczewski[1], Jan Józef Baranowski, Edmund Naganowski od r. 1886, a od roku zeszłego, urodzony w Szkocyi, z matki Szkotki, i ztąd nieznający niestety! polskiego języka, ale duszą i sercem Polak, B. J. Jazdowski, były lekarz brygady w armii angielskiej.

Z chwilą, w której P. Naganowski objął pióro, a z piórem, nie złote, co prawda, berło, w salach zajmowanych przez „Towarzystwo", — „spało ono snem iście śmiertelnym":[2] było bez zarządu, bez członków, bez środków; składało się poprostu z biurowego pisarza, i z jednego bardzo gorliwego, lecz już steranego wiekiem i chorobą „przyjaciela". Sekretarz wziął się z zapałem polskim, a z angielską wytrwałością do wlania nowego życia w obumierającą instytucyę. Dzięki w znacznej, jeżeli nie w wyłącznej części jego staraniom, powstał jeszcze w tymże roku 1886 w łonie „Towarzystwa" osobny komitet damski, na którego czele stanęła słynna z dobroczynności lady Burdelt-Coutts. Energiczny sekretarz nie zraził się nawet, gdy jakiś zamożny rodak, który dotąd „Towarzystwo" funduszami swymi wspierał, przybył w chwili zniechęcenia, czy kaprysu do Londynu, aby „Towarzystwu kres położyć". W marcu 1888 r. musiało „Towarzystwo" opuścić dawniej zajmowany lokal, i przenieść się do małego, skromnego mieszkania, by tak oszczędzić nieco pieniędzy dla pokrycia dość znacznego niedoboru, dla przyjścia w pomoc cisnącym się o wsparcie, zwłaszcza z Prus wyrzuconym wygnańcom. Reformę finansową „Towarzystwa" zaczęto bardzo słusznie od oszczędności, ale na samych oszczędnościach nie można było naturalnie poprzestać. Po licznych debatach, wahaniach, zdecydowano się wznowić po wielu latach przerwy, publiczny bal polski. Przedsiewzięcie to było tem śmielsze i ryzykowniejsze, że dawne bale polskie,

---

[1] Umarł w sędziwym wieku w r. 1884. Lord Dudley Stuart oddał w jednej ze swoich mów na uroczystem posiedzeniu Towarzystwa wielkie pochwały jego energii i zapobiegliwości. Był bez wątpienia dobrym, kochającym ojczyznę Polakiem, a przecież... ożeniony z Angielką, zostawił dwoje dzieci: syna i córkę, nieumiejących po polsku. (Por. *Przegl. Pozn.* t. VII, str. 234; *Kraj* z r. 1886 nr. 7).

[2] *Kraj* z 12 (24) sierpnia 1888.

urządzane w pierwszych latach istnienia „Towarzystwa“, w czasie głośnych, powszechnych, modą niemal nakazanych sympatyj dla Polaków, zostawiły po sobie nader świetną tradycyę, — sprowadzały do błyszczących polskimi sztandarami sal westminsterskiego ratusza książąt krwi, całe tłumy najpierwszych angielskich magnatów i dostojników, niekończącą się procesyę pań, przybranych w polskie kolory, w białe orzełki, — stawały się przedmiotem entuzyastycznych pochwał angielskiej prasy, zjadliwych pocisków ze strony szkalującego nas z urzędu *Timesa*, — zajmowały nawet sobą dyplomacyę [1]. „Dawne bale były świetne, więc i my świetny bal urządzimy“ powiedział sobie „komitecik“, złożony z sekretarza „Towarzystwa“, i niezmordowanych dla polskiej sprawy Adamów Giełgudów, powiedzieli sobie główni protektorowie balu, księstwo Władysławowie Czartoryscy, — i istotnie, wbrew przeszkodom, wbrew aż zbyt usprawiedliwionym obawom, bal urządzony 20 maja 1887 r. w westminsterskim ratuszu udał się doskonale; przypomniał Londynowi, a może i niektórym ze samychże członków „Towarzystwa“, że żyje ono jeszcze i umrzeć nie myśli, a co niemniej ważne, pokrył deficyt, grożący wprost bankructwem [2].

„Następnego roku (1888) „Towarzystwo“, a raczej damski jego komitet [3] z p. Naganowskim, jako adjutantem swym do

---

[1] Opowiadano i pisano, że mający się odbyć bal polski znacznie przyśpieszył (r. 1844) wyjazd cesarza Mikołaja z Londynu. Znaczenie i świetność balów polskich opisuje obszernie *Przegl. Pozn.* t. VII, 238 np.

[2] Obszerny opis tego balu — ważnego bądźcobądź wypadku w najnowszej historyi polskiej kolonii w Anglii — umieszczony jest w londyńskiej korespondencyi *Kraju* z 12 (24) czerwca 1887 r. Niektórzy goście spodziewali się ujrzeć narodowe, polskie tańce; ale zkądże było wziąść tancerzów i tancerek? Miłą za to niespodziankę sprawiły trzy polskie „dziewuchy“ w krakowskich strojach... „Wam, czytelnicy — kończy korespondent, któremu w czasie balu widocznie nie balowe tylko myśli po głowie się snuły — wam wszystko to wydaje się prozą jałową; nam tu, oddawna świata owego pozbawionym, owe trzy krakowianki uprzytomniały tyle obrazów z przeszłości“...

[3] Najczynniejszymi członkami od chwili założenia komitetu są: P. Adamowa Giełgudowa z domu Aszpergerówna, dwie panny: Jazdowska, i znana dobrze i u nas z literackich swych prac, do których wrócić nam jeszcze wypadnie, Miss Maude Ashurst Biggs.



pomocy, zakrzątał się żwawo około przygotowania osobnego kiosku polskiego w wydziale robót kobiecych, mianowicie chaftów i koronek, na międzynarodowej wystawie w Glasgowie[1]. Myśl tę szczęśliwą podały panny Jazdowskie, które poprzedniego lata pojechały zwiedzić Kraków i Zakopane, a zdziwione pięknością i oryginalnością zakopańskich zwłaszcza chaftów, postanowiły zapoznać z nimi angielską publiczność. Za powrotem do Anglii, zajęły się energiczne siostry wprowadzeniem w życie powziętej idei; potrafiły nawet uzyskać od zarządu wystawy pewną subwencyę pieniężną dla pokrycia kosztów przewozu. Pani Giełgudowa siadła do korespondencyi z Galicyą i Księstwem; ktoś inny[2] poruszył całą prasę polską... Powstały komitety, zbierające okazy w Krakowie, we Lwowie i w Poznaniu... Na naznaczony termin wstępny, dnia 8 marca nadeszły punktualnie paki i skrzynie do Londynu... I czegóż tu niema w tych pakach? — woła pod świeżem wrażeniem rozentuzyazmowany, pragnący się wywdzięczyć rodaczkom za pomoc, sekretarz „Literackiego Towarzystwa“. — Przecudne roboty koronkowe (niektóre zbyt drogie, inne b a r d z o tanie), pyszne hafty, artystyczne wieśniaczek galicyjskich i podolskich wyszywania, serdaki, kaftany, klimki, złotem i srebrem przetykane materye magnackie i wieśniacze, makaty itd. Choć mężczyzna, nie znam się na tych delikatnych cudnościach, byłbym przedmiot każdy całował z radości!“

Powodzenie nietylko moralne ale i materyalne „kiosku polskiego“, liczne pochwały, które w jednym wypadku wyszły nawet podobno z ust samej królowej, i co niemniej ważne, liczne zakupna i obstalunki, — zachęciły komitet damski do dalszej pracy w tym kierunku. W połowie grudnia 1888 r. sale reduty Wilisa w londyńskiej dzielnicy St. James, otwarły się dla ciekawych, jak wyglądają polskie wyroby snycerskie i ceramiczne, polskie koronki, hafty i płótna[3]. Kilka pań, należących do komitetu wystawy w Glasgowie, głośno wyrażały

---

[1] *Kronika rodzinna* z 1888, str. 212 np.
[2] Samże korespondent *Kroniki*, p. E. Naganowski.
[3] *Kraj* 23 grudnia 1888 (4 stycznia 1889).

ubolewanie, że niektóre z tych okazów, zwłaszcza nadesłanych przez warszawski zakład św. Marty, nie zdążyły na czas na tę wystawę, gdyż niewątpliwie otrzymałyby nagrodę. Wyroby garncarskie, przez hr. Dieduszyckiego udzielone; robótki i desenie z krakowskiego zakładu św. Scholastyki; złote i srebrne hafty podolskie, — miały mnóstwo wielbicielów a zwłaszcza wielbicielek, czego najlepszym dowodem pokaźna liczba uczynionych przez panie angielskie obstalunków [1]. Natomiast nie bardzo świetnie wystąpiła zakopańska szkoła snycerska, nadsyłając — jak bez ogródek wyraża się sprawozdawca z wystawy, a zarazem podobno i jeden z głównych jej organizatorów: — „liche wyroby, naśladujące tyrolskie i szwajcarskie, którymi Londyn jest przepełniony i świat cały zmęczony".

Krząta się więc jak może „Towarzystwo literackie", a choć niektórzy pytają, jaki właściwie ma stosunek z literaturą sprowadzanie do Anglii polskiego masła, polskich haftów i strojów, — to w obec siły rzeczy trudno na pedantów tych uważać, i dobrze, że „Towarzystwo", a może raczej wykonawczy jego „komitecik" na nich nie zważa. Rzutki „komitecik" nie stracił zresztą z oka i innych celów, dla których „Towarzystwo literackie" zostało przed półwiekiem założone, a przedewszystkiem: obznajmiania Anglików z polską sprawą i literaturą, prostowania fałszów przeciw nam, błędów o nas szerzonych [2]. W pier-

---

[1] Wedle sprawozdania, ogłoszonego na dorocznem posiedzeniu „Towarzystwa literackiego" w maju r. z., uzyskano już do tego czasu ze sprzedaży polskich wyrobów około 400 funtów szterlingów.

[2] W odezwie „Towarzystwa literackiego Przyjaciół Polski" do Polaków (Londyn 26 września 1850 r. — po polsku i po angielsku), znajdujemy następny spis broszur, artykułów i pism, wydanych w ogóle w języku angielskim przez Towarzystwo lub za jego pośrednictwem, w przeciągu pierwszych ośmnastu lat jego działalności:

Sprawozdania roczne z czynności Towarzystwa. Zeszytów 17.

Odezwa Towarzystwa do ludów Wielkiej Brytanii, napisana przez Tomasza Campbella. Londyn 1832.

Polonia, czyli miesięczny przegląd spraw, tyczących się Polski — pięć poszytów od sierpnia do grudnia 1832 r. Pismo to wydawał Campbell przy pomocy Lacha Szyrmy.

Sprawa Polski ujarzmionej, na parlament W. Brytanii przez Ro-

wszym szeregu tych, rzecby można, dawnych, w pomoc nieszczęśliwym spieszących, każdą ich krzywdę pomścić pragnących rycerzów, uznanie nam jedna — powiedzieć to i na naczelnem miejscu wymienić ją należy nie dla galanteryi tylko — literatka, poetka Miss Ashurst Biggs. Do studyów nad językiem polskim wzięła się p. Biggs przed dwunastu mniej więcej latami, pragnąc poznać

---

berta Cutlara Ferguson, po raz trzeci w dniu 9 lipca 1833 r. wniesiona (po polsku. Paryż 1834).

Mowa Lorda Dudleya Stuarta o polityce Rosyi, miana w izbie niższej na dniu 19 lutego 1836 r.

Rosya; odpowiedź rękodzielnikowi z Manchester (Ryszardowi Cobden). Londyn 1837.

Sprawozdanie z walnego zebrania Przyjaciół Polski, odbytego pod laską księcia Sussex na dniu 15 czerwca 1839 r. — Toż samo po polsku wyszło w Paryżu.

Polacy i car, przez p. Ainslie Young. 1839.

Persya i Affganistan. 1839.

Odezwa Towarzystwa do mieszkańców W. Brytanii i Irlandyi. 1840.

Dyskusya w izbie niższej, wywołana wnioskiem p. Gally Knight, o złożenie parlamentowi ukazów, wydanych przez rząd rosyjski, a dotyczących Królestwa Polskiego. 1842.

British and Foreign Review, pismo kwartalne, 35 tomów, od lipca 1835 do października 1844. Redaktorem był najprzód p. Ainslie Young, później p. Kemble, syn sławnego Karola Kemble.

Odezwa Towarzystwa do ludu W. Brytanii i Irlandyi, napisana przez Lorda Dudleya Stuarta. 1846.

Protestacya miasta Krakowa. 1847.

Mowa Lorda Dudleya Stuarta w izbie niższej dnia 16 maja 1848, wraz z dokumentami tyczącymi się powstania w W. Ks. Poznańskiem i bombardowania Krakowa.

Wypadki w Poznańskiem, wraz z licznymi dokumentami; tudzież sprawozdanie z dyskusyi w izbie wyższej nad wnioskiem w tymże przedmiocie, przez Lorda Kinnaird wniesionym. 1848.

Rosyanie w Mołdawii i Wołoszczyźnie. 1849.

Dyskusya w izbie niższej d. 22 marca 1849 nad wnioskiem Lorda Dudleya Stuarta w przedmiocie zajęcia Mołdawii i Wołoszczyzny przez wojska rosyjskie.

„Towarzystwo" dopomagało Dawidowi Urquhartowi w ogłaszaniu słynnego *Portfolio*. „Żadne dzieło — czytamy dalej w „Odezwie" — przez Polaka (rozumie się, w Anglii) napisane, nie obeszło się bez wsparcia od Towarzystwa. Prawie wszystkie artykuły w gazetach na korzyść Polski pochodziły od jego członków. Rozciągało też swą opiekę nad dziełami za granicą ogłaszanemi". (Por. *Przegląd Pozn.* t. XII, str. 261—265).

w oryginale poezye Mickiewicza, z którym zapoznała się za pośrednictwem[1] francuskiego tłómaczenia Krystyna Ostrowskiego. Zdolna uczennica, używając jedynie do pomocy francusko-polskiej gramatyki Rykaczewskiego, czytała po dwóch latach pracy z łatwością i przyjemnością naszych autorów; a gdy później spotkała się z niejaką panią Pace (z domu Andrzejewską z Poznania), wybornie wyuczyła się i pisać i mówić po polsku. Jak język nasz, tajemnice jego i piękności poznała, jak ją — cudzoziemkę — ojczysta nasza piosnka porusza, tego najlepszym dowodem ogłoszony w 1882 przekład „Konrada Wallenroda", a w trzy lata później przekład „Pana Tadeusza"[2] „Przejęcie się oryginałem, — pisał o tym przekładzie krytyk[3], bodaj czy u nas w tej mierze nie najkompetentniejszy, — jest wielkie i rzadkie... Pierwsza zaleta, nad którą prawdziwie zdumieć się trzeba, to wierność niesłychana, niepojęta, nie do uwierzenia prawie... Spodziewać się możemy z ufnością, że przekład da Anglikom o oryginale wyobrażenie i dokładne i korzystne". Niemałe to pochwały, tem cenniejsze, że wyszły z pod pióra krakowskiego profesora polskiej literatury, który dla nieudolnych tłómaczeń arcydzieł naszych — dla tych „karykatur, niedorzeczności, bezbożności, bezczelności", jest nieubłagany, a złym tłómaczom wprost po wynagrodzenie do pruskiego *Reptilienfond* zwracać się radzi;[4] ale tem też większy żal, że *Master Thaddeus* nie znalazł ani w Angli ani u nas, najprzód odpowiedniej reklamy, a co za tem idzie, i odpowiedniego odbytu, a tak nie mógł dopomódz, spoczywającym już dość dawno w tekach niezmordowanej tłómaczki: „Grażynie",

---

[1] *Kronika rodzinna* r. 1885, str. 84 np.

[2] *Master Thaddeus or the Last Foray in Lithuania*, by Adam Mickiewicz. Translated from the original by Maud Ashurst Biggs, with a preface by W. R. Morfill and notes of the translator and Edmund S. Naganowski, London. Trübner et Comp. 1885.

[3] *Przegląd Polski* r. 1886, zeszyt majowy, str. 360 np. Sprawozdanie podpisane znanymi inicyałami S.(tanisław) T.(arnowski).

[4] *Przegląd Polski* r. 1876, kwiecień. Z okazyi niefortunnego przekładu Słowackiego i Krasińskiego przez de Noire Isle.

„Dziadom“, „Balladom i Sonetom“ do oglądania angielskiego nieba w angielskiej sukience...

Kto inny by się może zraził; Miss Biggs, „Przyjaciółka Polski“ nie z imienia tylko, zrozumiała, że właściwa przyczyna, dla której polskie arcydzieło nie znalazło w Anglii należytego rozgłosu i uznania, leży w zapomnieniu o naszym narodzie, o cierpieniach jego i losach, w nieznajomości jego dziejów, ideałów. Trudno, by się zbyt interesowali „zaściankiem“ dobrzyńskim ci, którzy ledwie wiedzą o istnieniu Polski, a gdy czytają pierwszy wiersz:

Litva! My country like art thou to health,

pytają, co za zacz ta *Litva?* Przedewszystkiem więc, powiedziała sobie energiczna a praktyczna Angielka, przypomnieć należy Anglii w paru ogólnych rysach o „zapomnianym narodzie“, zbić choć parę głównych, najszkodliwszych bajek o nim krążących. Zamiaru tego dokonała p. Biggs w broszurze *The forgotten Nation*[1], a choćby broszura ta nie miała była innego

---

[1] *The forgotten Nation.* By Maude Ashurst Biggs. London. Published by the Literary Association of the Friends of Poland. 1886. Oto treść tej broszury, jak ją w swoim czasie w *Przeglądzie Powszechnym* (r. 1887, zeszyt lutowy) podaliśmy:

„Zapomniany naród! jakiż to zapomniany naród?“ — pyta się Angielka, pani Biggs, dobrze znana w Polsce tłómaczka „Pana Tadeusza“ i „Konrada Wallenroda“. — Czy we wnętrzu Nowej Gwinei odkryto nieznane dotąd pokolenie; czy jaki podróżnik natrafił na wyspę, nie dość dotąd zbadaną? Nie — naród ten leży w środku Europy; kiedyś zajmowano się i pisano o nim wiele; ale od pewnego czasu zdawałoby się, że znikł z powierzchni ziemi, tak o nim głucho i cicho; a choć kto się czasem o Polsce półsłówkiem odezwie, to zazwyczaj niechętnie, a zawsze prawie niedokładnie. Czemu przypisać to zobojętnienie, tę nieznajomość polskich stosunków, które przecież powinnyby choć tyle Anglię obchodzić, co np. stosunki ludów Afryki centralnej? Przedewszystkiem złym i fałszywym wyobrażeniom, które zagnieździły się w Anglii, a dzięki którym Polska przedstawia się w umysłach Anglików, to w fantastycznych barwach do gruntu socyalistycznego kraju, to znów jako raj niezdrowej bigoteryi, śmiesznego ultrakonserwatyzmu, broniącego się przed napadem europejskiej cywilizacyi w zamkach swych i szlacheckich dworach. Nieraz przyrównywano Polskę do Irlandyi, a w porównaniu tem jest coś prawdy, ale jest i dużo fałszu; Irlandczycy spiskują, a dzisiejsi Polacy są wrogami spisków, nie tworzą tajemnych stowarzyszeń, a jawnej agi-

praktycznego skutku, jak ten jeden, że lord Salisbury z treści jej wziąść miał pochop[1] do zaprzeczenia w parlamencie (5 marca 1887), jakoby można słusznie porównywać agitacyę irlandzką do polskiej, — to już nie mało przysłużyłaby się polskiej sprawie w Anglii, której nic tu może bardziej od tego porównania nie szkodzi[2].

P. Biggs jest „przyjaciółką" naszą szczerą i jawną; autor przedmowy do angielskiego wydania „Pana Tadeusza", pro-

---

tacyi tworzyć nie mogą. Carlyle i inni odmalowali Anglikom złe dawne polskie czasy, swawolę i wygórowane przywileje szlachty; ale pisarze ci nie powiedzieli im, że sama szlachta na pamiętnym sejmie czteroletnim pracowała najusilniej nad usunięciem zarodków swawoli i ścieśnieniem zbytnich przywilejów. Polacy przywiązani są do wiary katolickiej, ale z tego zarzutu niepodobna im czynić; przypomniećby raczej można Anglikom, że kiedy w XVI wieku cała niemal Europa, a wespół z nią i Anglia była teatrem religijnych prześladowań, to w jednej Polsce w całej pełni kwitła tolerancya. Stosunek szlachty do ludu był w Polsce ten sam, jaki przez długie wieki panował i w innych krajach; sama szlachta polska parła do wyzwolenia chłopów z poddaństwa; a jak dziś Anglicy nie chcą i nie myślą wrócić do feudalizmu, tak i Polacy nie myślą wskrzeszać poddaństwa i pańszczyzny.

Czemże więc są dzisiaj Polacy? W odpowiedzi na to pytanie kreśli autorka w kilku śmiałych rysach obraz dzisiejszej Polski pod trzema zaborami. Rzeczy to nam znane, powtarzać więc ich nie potrzebujemy; na każdej stronicy znać, że szczere współczucie i miłość nietylko dla literatury, ale dla całego naszego kraju natchnęła te słowa nieokraszone retorycznemi wykrzyknikami, ale samą prawdą dość wymowne. Opisując smutny los przybyłych do Londynu w ostatnich miesiącach wygnańców polskich z Prus, zwraca się autorka z gorącą prośbą do swych rodaków, aby bez różnicy przekonań politycznych śpieszyli nieszczęśliwym z pomocą. „Pokażcie w ten sposób, — woła — że dla Anglików Polska przestała już być zapomnianym narodem!" Jak wiemy z odezwy, niedawno przez „Towarzystwo Przyjaciół Polski" ogłoszonej po dziennikach, pomocy tej potrzebują wygnańcy koniecznie, aby nie umrzeć śmiercią głodową; ztąd książeczka p. Biggs, zachęcająca do ofiar w tym celu, jest nietylko bardzo nam miłym i sympatycznym objawem, ale zarazem prawdziwym uczynkiem miłosierdzia.

[1] *Kraj* 6 (18) marca 1887 r.

[2] Miss Biggs pisuje również od czasu do czasu do pism polskich, a stałą jest współpracowniczką *Kroniki rodzinnej*, w której prócz peryodycznych korespondencyj z Londynu, umieściła (w roku 1887) powieść: „Król wysp koralowych". Nadto napisała po angielsku „Dzieje Polski współczesne", ale, o ile wiemy, dotąd ich nie ogłosiła.

fesor Wilhelm Ryszard Morfill, przyjacielem, a w każdym razie zbyt jawnym i gorącym przyjacielem nie jest, ale wespół z p. Biggs zna bodaj najlepiej z Anglików naszą historyą i literaturę, i obznajmia z nią swych rodaków choć w najogólniejszych rysach [1]. Do tego obznajomienia z Polską i Polakami — jednego z głównych zadań „Literackiego Towarzystwa“ — przyczyniły się również nie mało w ostatnich latach przez jego członków, lub za jego głównie inicyatywą i poparciem, ogłoszone powieści, dziennikarskie artykuły i polemiki, poważne książki i rozprawy.

Znany już nam Adam Gielgud, wydał pamiętnik księcia Adama Czartoryskiego, książkę wyjątkowo chętnie czytaną i kupowaną; a przed dwoma latami, zwiedziwszy choć cząstkę ojczystej ziemi, rozkochawszy się w jej pięknościach, ogłosił artykuły: „W polskich Karpatach“ i „Rzym polski“ [2], mające na celu ściągnąć bogaczów angielskich do Krakowa i Zakopanego. Z powieści, na tle polskiem osnutych, zwróciły na siebie w ostatnich latach uwagę: „Najpiękniejsza Warszawianka“ przez pannę M. Collins, i „Zgubione rubiny“ przez pannę Dudney: obie autorki żywią dla nas niekłamaną sympatyą. P. Naganowski ogłasza w chwili, gdy to piszemy, powieść: *Almighty England*, która jednocześnie p. t. „Anglia Wszechmożna“, drukowaną jest w *Gazecie Lwowskiej;* bohaterem tej powieści jest Polak, żyjący w Anglii.

---

[1] Prof. Morfill zajmuje się nietylko Polską, ale w ogóle Słowiańszczyzną, a najbardziej Rosyą. W miesięczniku *The Westminster Review* ogłosił szereg studyów o bogatszych słowiańskich literaturach, między innemi o polskiej; w nowej *Encyklopaedia Britannica* umieścił obszerny artykuł *Poland*, który stał się przyczyną długiej, prywatnej i niezupełnie prywatnej polemiki między autorem a p. Naganowskim. W dziełku *Slavonic Literature* poświęcił p. Morfill 24 strony literaturze polskiej, doprowadzając ją tylko do r. 1606. (Por. *Bibl. Warsz.* r. 1884, t. III, str. 102 np. i 157 np. — *Kraj* z 1 (13) czerwca r. 1886). Wyszła z pod pióra tego samego autora *Simplified Grammar of the Polish Language* (1884) bardzo małą, jeźli w ogóle jakąkolwiek ma wartość.

[2] Pierwszy z tych artykułów, ogłoszony w *English illustrated Magazine*, zdobią liczne rysunki Witkiewicza; drugi, zawierający głównie opis Krakowa, umieściła rok przedtem *Morning-Post.*

I znowu nasunęło się pod pióro nazwisko p. Naganowskiego, bo mowiąc dziś o Polakach w Anglii, mówiąc zwłaszcza o „Towarzystwie literackiem", niepodobna nie spotkać się na każdym kroku z byłym wprawdzie, ale i dziś z niemniejszą energią troszczącym się o polskie interesa w Anglii jego sekretarzem, p. Naganowskim. Polakom pokazuje on raz po raz w nader licznych korespondencyach do najróżniejszych polskich pism i dzienników, czego od Anglików uczyćby się mogli i powinni; Anglikom zapomnianą Polskę wciąż przypomina, z każdym jej przeciwnikiem kopiję kruszy; a choć go może zimny jaki Anglik porówna do średniowiecznego błędnego rycerza, to przecież nie przestaje — jak ktoś się wyraził — piastować niewdzięcznego i nierentującego się dziś urzędu ambasadora sprawy polskiej w Anglii, zwłaszcza w angielskiej prasie. A nie zawsze łatwo to przychodzi. Tak n. p. gdy *Pall Mall Gazette* umieściła przed trzema latami bardzo dla Polaków nieprzychylny artykuł p. t. „Irlandya i Polska", w którym starała się udowodnić, że Polacy sami sobie winni, bo roszczą sobie pretensye do ziem czysto ruskich, — nadesłał sekretarz „Towarzystwa literackiego" natychmiast odpowiedź; ale niechętna nam gazeta arcynielojalnie i nieliberalnie, repliki tej poprostu nie przyjęła. Następnego roku (1888) nowa napaść na Polskę w tejże samej *Pall Mall Gazette*, nową wywołała odpowiedź; a tym razem odpowiedź ta znalazła już miejsce w łamach londyńskiego organu. Jednocześnie rozpoczął p. Naganowski prywatną, a za pośrednictwem *Timesa, Standarda* i telegraficznej agencyi *Press Association*, i publiczną walkę z Gladstonem, wyrażając zdziwienie, jak mógł tak wielki mąż stanu w jednej z swych mów zawyrokować, że ucisk i prześladowanie sroży się dziś w jednej tylko Irlandyi, nie chcąc chyba wiedzieć, co się dzieje w ziemiach polskich: pod berłem pruskiem, rosyjskiem![1] Walka ta znalazła żywy odgłos

[1] Na prywatny list p. Naganowskiego, odpowiedział W. E. Gladstone, zwyczajem swym, na kartce korespondencyjnej, pod datą 7 września 1888: „Panie! Cieszę się bardzo, że to, co przy niektórych okazyach powiedziałem, dało Ci sposobność do rozszerzenia wiadomości tak smu-

w całej angielskiej prasie równie stołecznej, jak prowincyonalnej. Obecnie znów objął p. Naganowski dział polski w założonej w roku bieżącym, a liczącej już setki tysięcy czytelników *Review of Reviews*. Jeszcze kilka takich potyczek, paru ludzi równie rzutkich, a kraj swój kochających, a nie będzie już można w Anglii prawić — jak niedawno jeszcze temu bezkarnie prawiono, — o Polsce i „o zniknięciu najmniej zdatnego“ [1], prawdziwych dubów smalonych, z którymi nikt nie odważyłby się występować przed angielską publicznością, mówiąc o Kafrach lub Hotentotach.

Z krótkiego tego zarysu dawnej i współczesnej historyi „Literackiego Towarzystwa Przyjaciół Polski“, dawnej jego świetności, z dzisiejszych usiłowań, by choć cień tej świetności zachować, z suchego wyliczenia głównych prac i zabiegów jego polskich członków, z paru bladych sylwetek tych niewielu naszych „przyjaciół“, „przyjaciółek“, którzy nie pustą tylko nazwą, lecz czynami przyjaźni swej ku nam dowodzą, — dość chyba jasno widać, że choć dziś instytucya ta — prawdziwie po polsku — zasługą paru ledwie jednostek żyje i działa, to przecież jest, a w wyższym jeszcze stopniu być może, pewnego rodzaju centrum dla Polaków i dla ludzi, o sprawę polską się troszczących, i głównie dlatego, a nietylko dla subwencyonowania i informowania kilkunastu biedaków, nietylko dlatego, że — jak się wyrażano — niema nikogo,

---

tnie nam brakujących. Ale nie widzę, jaki pożytek wyniknąłby z rozpoczęcia przezemnie dyskusyi nad sprawą polską...“ Część prasy irlandzkiej nie przyjęła tak spokojnie i grzecznie wywodów p. Naganowskiego; oburzyła się nad wszelki wyraz na śmiałka, który odważył się powiedzieć, że rodacy jego byliby szczęśliwymi, gdyby mieli choć cząstkę irlandzkich swobód, a zowiąc go bez ceremonii „psem“, „kłamcą“, „zdrajcą ojczyzny i religii“, wyraziła życzenie, by w piekle znalazł „kąt najgorętszy, którego unikają nawet kozacy i Polacy“. (Por. *Kraj* z 8 (20) i 16 (28) września 1888 r.).

[1] Pod tym tytułem miał na wiosnę 1887 niejaki p. Fyffe publiczny odczyt w Londynie. O oryginalnym tym odczycie dyletanta, szukającego z naszą szkodą taniego rozgłosu, zdał Latarnik obszerne sprawozdanie w *Kraju* 6 (18) marca 1887.

ktoby jej cios śmiertelny zadał, ma racyę bytu i życia. To też rozumieć trudno, jak znaleść się mogli ludzie, Polacy, którzy myśleli na seryo, nie o możliwem zreformowaniu i podniesieniu „Towarzystwa", ale o położeniu mu kresu. Inni znów podnieśli myśl reformy na tak szerokie rozmiary, że nie byłaby to już tylko reforma, ale przemienienie dotychczasowego „Towarzystwa" od fundamentów do szczytu w zupełnie inne, czysto polskie, bez angielskiego zabarwienia i nazwiska. Czy taka reforma jest możliwą, czy byłaby pożyteczną; czy przez nią „Towarzystwo" nie podpisałoby na siebie wyroku śmierci, nie straciłoby i tych kilku okruszyn wpływu, które jeszcze w angielskich kołach posiada? W samemże łonie „Towarzystwa" panują w tym względzie i walczą ze sobą dwa wręcz sprzeczne zapatrywania; w każdym razie operacya tak radykalna, głębokiego wymaga zastanowienia, wielkiej przezorności, aby lekarstwo miasto pomódz, śmierci raczej nie przyśpieszyło.

W przeciągu przeszło półwiekowego swego istnienia widziało „Towarzystwo" cały zastęp obok siebie i przeciw sobie utworzonych, w ogóle wyłącznie z polskich członków składających się związków, kół i bractw; gdy jedne nikły, powstawały inne, by znowu po niedługim czasie jeszcze innym, nowością nęcącym, miejsca ustąpić. Tak zniknęły dawne, demokratyczną barwą świecące związki: „Gromada", „Orzeł biały"; wolno topniała, aż wreszcie w ostatnich miesiącach stopniała do liczby trzech czy dwóch członków wolnomularska loża polska, założona w r. 1843; przed trzema laty powstało i istniało — a może i po dziś dzień jeszcze choć w teoryi istnieje — „Towarzystwo dywizyi polskiej", złożone z kilku niedaleko siebie, we wschodnich dzielnicach Londynu mieszkających kolegów z wojny krymskiej. Lepiej ma się podobno powodzić niedawno powstałym związkom polskim w Sheffieldzie i Liverpoolu.

W samym Londynie, nie mówiąc już o „Towarzystwie literackiem", nietylko wegetują, ale, choć w szczupłych grani-

cach, rozwijają się: „Związek polski“ dla W. Brytanii i Irlandyi, i zależny od niego „Klub robotników“. Przewodniczącym po ostatnie czasy był „obywatel“ Tolkemit [1], majster ciesielski, były sierżant w szeregach Koszuta, człowiek, który osobiście zasługiwać miał na wszelki szacunek. „Związek“, założony w r. 1882 pod nazwą „Towarzystwa robotników“, raził w początku silnie czerwoną, genewską barwą; tułał się po różnych szynkach i norach, i honoru imieniowi polskiemu niewiele przynosił. W r. 1886 — dzięki w wielkiej części staraniom p. Naganowskiego, a w największej części dobrej woli zarządu i samychże członków — nastąpił zwrot ku lepszemu: zmieniono statuta i usunięto z nich wszystko, co trąciło międzynarodowem socyalizmem; nazwę „Towarzystwa robotników“ przekształcono w jaśniejszą i odpowiedniejszą „Związku polskiego“; urządzono „kasę chorych“ i „kasę bezrobocia“. Stosunki zawiązane z „Towarzystwem literackiem Przyjaciół Polski“ znowu po bardzo niedługim czasie psuć się zwolna zaczęły; ale sam „Związek“, wkroczywszy raz na drogę rozumnej reformy, nie wrócił się już na szczęście do dawnych nor i rozpierających się w nich poglądów i systemów. Do dość obszernego, porządnego lokalu „Związku“, wynajętego we wschodniej dzielnicy Londynu, Clerkenwell, schodzą się chętnie członkowie — dziś w liczbie około 50 — przyprowadzają wielu innych Polaków nie-członków, przypominają sobie dźwięki ojczystej mowy, a dzięki rozłożonym na stołach polskim pismom i dziennikom, dzięki choć szczupłej, bo ledwie dotąd z 200 tomików składającej się biblioteczki, nie tracą z oka dalekiej rodzinnej ziemi, jej potrzeb, interesów, nieszczęść... „Klubem robotników“ rządzą żydzi, i ze zwykłą sobie przedsiębiorczością i sprytem utrzymują jego, a prawdopodobnie — przeciw czemu zresztą w tym razie protestować trudno — i swoje interesa w kwitnącym stanie, bo klub jest, a przynajmniej bardzo jeszcze niedawno temu był polską restauracyą trzeciego lub czwartego rzędu, czyli wprost już nazywając rzeczy po imieniu, polsko-

---

[1] Umarł w grudniu 1889.

żydowskim szynkiem. Swoją drogą i taki szynk w Londynie, i urządzane w nim dwa razy miesięcznie bale i odbywające się od czasu do czasu improwizowane wiece, mają swoją dobrą stronę: przyczyniają się do jakiejkolwiek przynajmniej łączności między najuboższą warstwą Polaków, i nie dozwalają im zupełnie zapomnieć, że są Polakami i że matka nie angielskim językiem w dzieciństwie do nich przemawiała; że dotąd bracia ich i siostry nad Wisłą, Wartą i Niemnem nie po angielsku ze sobą rozmawiają.

III.

Ważną jest rzeczą, aby polscy wychodźcy w Anglii nie stracili poczucia swej narodowości, swego języka; stokroć bez wątpienia jest ważniejszem, aby nie zatracili skarbu katolickiej wiary. Dwóch rzeczy tych zresztą, jeźli gdzie, to w Anglii nie można od siebie odłączać. Wychodźca polski, który stracił wiarę, został anglikaninem, metodystą lub żydem, odrzucił z pewnością — o moralności nawet nie wspominając — dawno już przedtem swą narodowość i język, jako niepotrzebne, zawadzające tylko sprzęty; wychodźca, zwłaszcza mniej lub zupełnie niewykształcony, który zapomniał, jak katolicki Kościół wygląda, zapomni z pewnością niebawem, jeźli jeszcze tkwi mu w myśli i w sercu mętne jakieś wspomnienie, jak wygląda kraj rodzinny, jakie dźwięki wydaje ojczysta mowa.

A niełatwo niestety! ten skarb wiary nieskażony utrzymać; niełatwo zapewnić garstce Polaków, rozsypanych w czysto protestanckich okolicach, w żydowskich dzielnicach, choćby najniezbędniejszą tylko religijną opiekę i pomoc. „Literackie Towarzystwo" i jego wysocy i wpływowi, polscy zwłaszcza, protektorzy zrozumieli od samego początku gwałtowną potrzebę tej pomocy; starali się i wystarali się na kilka zawodów o sprowadzenie polskiego księdza do Londynu przynajmniej, o mały bodaj kościółek, w którym polska kolonia mogłaby się zgro-

madzać w niedzielę i święta, polskiej wysłuchać nauki, polską pieśnią, „Gorzkiemi Żalami“, rzewną kantyczką Boga chwalić. Przed wojną krymską opiekował się Polakami w Londynie ks. Podolski, nader energiczny i gorliwy kapłan, człowiek — jak go opisuje jeden z osobistych jego znajomych[1] — nadzwyczajny w swoim rodzaju. Umiał on wszystko stworzyć koło siebie, i obejść się bez zasiłków zdaleka ściąganych. Gdy w czasie wojny krymskiej większa część Polaków, bawiących w Anglii, udała się do Turcyi i zaciągnęła się do polskiej dywizyi Kozaków sułtańskich, zostającej pod dowództwem jenerala Zamoyskiego, — przyłączył się do nich i ks. Podolski w charakterze kapelana; po skończonej dopiero wyprawie powrócił napowrót do swych londyńskich biedaków.

Po kilku latach pracy ustąpił zmęczony misyonarz z ciężkiego stanowiska, chlubnie zajmowanego przez siebie, a miejsce jego zajął około r. 1862 z inicyatywy jenerała Zamoyskiego, a za wstawieniem się samego kardynała Wisemana do prymasa Przyłuskiego, dzisiejszy proboszcz i dziekan w Granowie w W. Księstwie Poznańskiem, dr. Chwaliszewski. Jenerał Zamoyski, który nie zwykł był połowicznie rzeczy robić, nie zadowolnił się sprowadzeniem księdza, ale zajął się sam wynajęciem kaplicy, sprawieniem ze składek, a bodaj czy nie raczej z własnej kieszeni, przyborów kościelnych, zapewnieniem księdzu utrzymania, co jeźli wszędzie, to zwłaszcza w słynnej z drożyzny stolicy angielskiej, rzecz arcy-niełatwa. „Wiem, że ks. Chwaliszewski — pisze naoczny, najlepiej poinformowany świadek misyonarskiej jego pracy[2] — dużo uczynił dobrego, mnóstwo dorosłych już dzieci ochrzcił, wiele nieprawych małżeństw po-

---

[1] P. Leonard Niedźwiecki z Paryża, któremu miło mi tutaj wyrazić szczerą wdzięczność za dostarczone z rzadką uprzejmością cenne wskazówki o Polakach w Anglii.

[2] Ogólny pogląd na dawniejszy stan misyi polskiej w Londynie i szczegóły o nich podane, zawdzięczam uprzejmej łaskawości pani jenerałowej Zamoyskiej, ks. dra Jażdżewskiego, O. Bakanowskiego. Od ks. dra Chwaliszewskiego nie udało mi się, mimo podjętych starań, zaczerpnąć pożądanych informacyj.

błogosławił, wielu starców nawrócił i do dobrej śmierci przygotował“.

W ciężkiej chwili, bo właśnie gdy nowe a liczne szeregi emigrantów, styczniową zawieruchą wyrzucone z kraju, poczęły się w Anglii gromadzić, objął duchowny, a siłą rzeczy nietylko duchowny ster nad polską kolonią, znany dziś szeroko w całej Polsce, wytrwały obrońca katolickiej wiary i praw naszych w berlińskim parlamencie, ks. dr. Jażdżewski. „Pobyt mój w Anglii — pisze ówczesny misyonarz, a dzisiejszy proboszcz w Zdunach — przypadał na r. 1864 i 1865. Położenie moje było bardzo trudne, bo właśnie napływała nowa emigracya, wypuszczona mianowicie z kazamat austryackich i do Hull odstawiana, a ztamtąd przybywająca do Londynu; wiele mi ona pracy i kłopotu sprawiała. Trzeba im było wyszukać pomieszkania, lub wyprawić ich do Francyi lub do Ameryki, w czem rząd angielski dopomagał mi, choć w szczupłej mierze. Co do starszej emigracyi, to większa jej część pożenioną była z Angielkami, protestantkami; dzieci po części stracone były dla polskości i katolicyzmu. Starałem się, ile się dało, ratować. W połączeniu z paryskiem stowarzyszeniem *Oeuvre du Catholicisme en Pologne*, na którego czele stał późniejszy biskup z Autun, ksiądz Perrand, umieściłem około stu dzieci polskich emigrantów — ratując im przynajmniej wiarę — po różnych zakładach w całej Francyi od Boulogne aż do Pireneów: dziewczęta w klasztorach Urszulanek i Sercanek — chłopców po zakładach biskupich. Emigracyę, jak mogłem, takem prowadził w polskiej kaplicy; ale na to potrzeba było znacznych funduszów, bo należało opłacać podróż, żmudę i t. d. To wszystko pochłonęło dużo pieniędzy, ale trochę przy tem duch odżył. Dłużej jednak tej pracy prowadzić nie mogłem; raz, że mi zdrowie nie dopisywało, a potem, że użyczone od episkopatu francuskiego i od jenerała Zamoyskiego fundusze się wyczerpały“.

Ostatnia z tych przyczyn: brak niezbędnych funduszów dla wyżywienia księdza i umożliwienia mu apostolskich wycieczek do Polaków po Anglii rozproszonych, — wraca na każdej

kartce w niewesołej historyi misyi polskiej w Anglii. Do Anglików pukać o pomoc trudno i nie opłaci się; od samych wychodźców, w biedzie żyjących, ani żądać ani spodziewać się nie można jakiegokolwiek obfitszego zasiłku; rząd gotówby może był udzielić subwencyi, ale wedle ściśle przestrzeganej zasady, subwencya ta nie mogłaby być wyższą od kwoty, którą samiż polscy wychodźcy zobowiązaliby się regularnie na księdza płacić, a zatem, mówiąc praktycznie, zejśćby musiała w najlepszym razie do śmiesznie drobnych rozmiarów.

Nie w lepszem położeniu znalazł się Zmartwychwstaniec, O. Adolf Bakanowski, przybyły w lecie 1878 roku, głównie wskutek zabiegów bawiącego dłuższy czas w Anglii Redemptorysty, O. Łubieńskiego, i jego Prowincyała, O. Coffina. Klasztorów Zmartwychwstańców — jak wiadomo — w Anglii dotąd niema; źródło składek na księdza i kaplicę zupełnie wyschło, dawni protektorzy polskiej misyi umarli lub pousuwali się; — tak że gdyby nie jenerałowa Zamoyska, która wierna tradycyom, po mężu odziedziczonym, na polską misyę nie szczędziła grosza, gdyby nie wspaniałomyślność prawdziwie szlachetnego lorda Demby, musiałby był chyba O. Bakanowski po kilku tygodniach pobytu, rad nie rad, Anglię opuścić.

Dla większej wygody wychodźców przeniósł O. Bakanowski polskie nabożeństwo do włoskiego kościoła św. Piotra na Hatton-Gardens, a raczej do podziemnej, prawdziwie katakumbowej kaplicy, w której już dawniej dr. Jażdżewski Polaków apostołował. „Kościół ten — tak opisywał go przed dziesięciu laty, świeżo do Anglii przybyły p. Naganowski [1] — jeden z największych katolickich w Londynie, stoi w smutnej, dość opuszczonej części wielkiego miasta. Odgrodzony od ulicy drewnianą palisadą, wznosi prawie czarne swe mury z pośrodka nieusuniętych gruzów i kamieni trawą porosłych...“ Urządzona pod czarnemi temi murami polska kaplica, stała się 10 stycznia 1880 r. widownią strasznego zamachu, który zwrócił

[1] *Przegląd Lwowski* r. 1879. T. XVIII. str. 619: „Listy z Londynu“.

oczy całego świata na polską misyę londyńską i polskiego misyonarza. O. Bakanowski odprawiał właśnie Mszę św. za duszę zmarłego przed kilku dniami Bronisława Zaleskiego, gdy wtem, w chwilę po odczytaniu Ewangelii, rozległo się kilka rewolwerowych strzałów. Były one wymierzone w celebrującego, lecz na szczęście wszystkie chybiły. Proboszcz kościoła włoskiego, ks. Arkell przyskoczył do złoczyńcy i zdołał mu wydrzeć rewolwer i zatruty sztylet; wielu zgromadzonych wiernych rzuciło się proboszczowi na pomoc; zanim jednak pochwycili nieszczęśliwego zbrodniarza, potrafił on jeszcze rozbić Tabernaculum, wysypał na ziemię Przenajśw. Hostye i podpalił firanki, zdobiące ołtarz. Przed sądem okazało się, że złoczyńca ów, nazwiskiem Schossa[1], skazany następnie przez londyńskich przysięgłych na dożywotnie więzienie, był anarchistą niemieckim, zasądzonym już poprzednio w Medyolanie na 10 lat ciężkich robót za podobną sprawkę; względem ks. Bakanowskiego żywić on miał podobno szczególną nienawiść, z powodu podjętej przezeń w Ameryce energicznej walki przeciw socyalizmowi i wolnomularstwu.

W siedm miesięcy po zamachu, w sierpniu 1880 r., przełożeni zakonni odwołali misyonarza na inny posterunek. „Na miejsce O. Bakanowskiego — pisał późniejszy sekretarz „Towarzystwa literackiego“ o smutnym tym dla kolonii polskiej wypadku [2] — nie będziemy rychło mieli innego kapelana. Przeszkadzają temu niezwyciężone trudności utrzymania osobnego kapłana. Ze smutkiem żegnamy sierocym płaczem ostatniego kapłana rodaka“.

O. Bakanowski wyjechał z Londynu w sierpniu 1880 r.; w lutym następnego roku opuścił Liverpool inny polski misyonarz, ks. Julian Dutkiewicz, sprowadzony tam przed niezbyt dawnym czasem przez polskich i litewskich robotników i wy-

---

[1] Tak nazywa zbrodniarza korespondent *Przeglądu Lwowskiego*: w telegramach biura korespondencyjnego występuje Schosser; w korespondencyach *Kuryera Poznańskiego* i *Czasu:* Schossa i Schosse.

[2] *Przegląd Lwowski* r. 1880. T. XIX. str. 369. „Listy z Londynu“ przez Edmunda Naganowskiego.

robników. Ks. Dutkiewicz pracował z początku przy kościele zarządzanym przez proboszcza belgijskiego; następnie rozpatrzywszy się lepiej w stosunkach, pomyślał o założeniu polskiej kaplicy i szkoły. Biedni Polacy złożyli grosz wdowi; pani Ksawerowa Pusłowska z Paryża przysłała hojną ofiarę — i dzięki głównie tej ofierze mógł ks. Dutkiewicz wynająć osobny dom i urządzić w nim kaplicę dla Polaków. Nieszczęściem, misyonarz nasz zapomniał, że w Anglii istnieje hierarchia kościelna; założył kaplicę i rządził się na własną rękę, nie pytając, co sądzi i jak na rządy te zapatruje się duchowna władza w Liverpoolu. Nadomiar złego nadeszły do konsystorza biskupiego różne niepokojące i niepochlebne wieści o polskim kapłanie. Ks. Dutkiewicz próbował się z początku bronić, ale ostatecznie, niechcąc dłużej przeciągać tak nienaturalnego a niemiłego stanu rzeczy, i widząc, że — nie wiemy — uprzedzenia czy dowody przeciw niemu walczące, usunąć się nie dadzą, cofnął się dobrowolnie i odpłynął do Ameryki [1].

Odtąd na lat kilka zostali nasi wychodźcy ogołoceni z jakiejkolwiek stałej opieki duchownej. Pracował wprawdzie jeszcze w tym czasie w Anglii znany już nam Redemptorysta, O. Bernard Łubieński, a w czasie licznych swych wycieczek misyjnych gromadził i krzepił na duchu, gdzie, jak i o ile mógł, opuszczonych swych rodaków — ale była to praca raczej odrywcza, której poświęcić się, a może raczej tak poświęcić się, jakby tego misyonarz nasz pragnął, nie dozwalały inne obowiązki, przez zakon poprzednio podjęte. Do londyńskiego klasztoru Redemptorystów, do polskiego zakonnika schodzili się starzy i młodzi, polscy wiarusi po chleb i duchowny i materyalny — a jak jednego, tak drugiego nigdy im tu nie żałowano. Ówczesny prowincyał angielskich Redemptorystów, późniejszy biskup, ks. Coffin miał dla Polaków prawdziwie ojcowskie serce; cieszył się szczerze, gdy znowu nowa gromadka

---

[1] *Słowo* z 26 i 27 października 1882 r.; *Przegląd Katolicki* z 9 listopada 1882 r. Notatki O. Lassberga. Akta, odnoszące się do osoby i działalności ks. Dutkiewicza w Liverpoolu, znajdują się w tamtejszem archiwum dyecezalnem.

pukała do furty gościnnego klasztoru, gdy znowu marnotrawny syn, wiarus z polskich, węgierskich, krymskich bojów, klękał po długich nieraz latach awanturniczego żywota u konfesyonału polskiego misyonarza, i nie rzadko z serdecznym płaczem długą spowiedź odprawiał. A jakaż dopiero radość polskiego księdza, gdy wruszony penitent sprowadził do kratek konfesyonalnych paru swych kamratów, znajomych... Najgorliwszym takim „katechistą“ — aby użyć nazwy z historyi zaeuropejskich misyj zapożyczonej — był wysłużony żołnierz z węgierskiej kampanii, Feliks Sangurski. Różne przechodził on koleje, zanim drogą na Gibraltar dostał się do Anglii, a w Anglii do więzienia, gdzie czekała nań łaska Boża — i zmieniła Szawła w duchem apostolskim przejętego Pawła. Rodacy znali i szanowali tego starca, którego przez długie lata widzieli każdego poranku i wieczora modlącego się pobożnie przed kościelną bramą; szli też chętnie za jego wezwaniem do kościoła, wzmacniali się i cieszyli za jego przykładem w swej niedoli św. Sakramentami.

„I dziś od wzruszenia trudno się obronić, — opowiadał po wielu latach polski zakonnik — kiedy przypomnę sobie te straszne sceny, nad wszelki wyraz bolesne opowiadania Polaków, przychodzących o jałmużnę prosić; serce wtedy pękało...

„Ale nie najbardziej jeszcze byli godni pożałowania ci, którzy cisnęli się do furty klasztornej. Pewnego razu Lady L., która wespół z p. Bodenhamem zajmowała się zbieraniem składek na księży uwięzionych w Tunce, doniosła mi o całej polskiej rodzinie ze znanem nazwiskiem, pytając, co robić, bo z głodu nieszczęśliwi umierają, a przyjąć jałmużny nie chcą. Pani H. chciała na chleb sobie zarobić; założyła pracownię sukien damskich — ale do pracowni, której na większą skalę urządzić nie było za co, mało kto, prawie nikt nie zaglądał...

„Na misyi w Sounphort, koło Portsmouth, stanął przedemną jakiś pan i opowiedział mi, jakby z senzacyjnej powieści wyjętą, historyę swego życia. Ojciec mój — mówił — pełnił służbę kozaka na dworze pewnego polskiego pana. W czasie krymskiej wojny byliśmy w jakiemś portowem mieście. Raz

szedłem — wówczas jeszcze małe dziecko — razem z matką, nie wiem, dlaczego i w jakim interesie, na okręt. Tutaj sen mię zmorzył, a kiedy się obudziłem, matki na okręcie nie było, i dość już dawno wypłynęliśmy z portu. Przybyłem do Anglii, zaopiekowano się mną tutaj, ożeniłem się potem z katoliczką, zostałem rzeźnikiem — i mam się nie źle. Jakiej religii byli moi rodzice, czy kto z rodziny żyje, co robi, gdzie się obraca? — nie wiem i z pewnością nigdy wiedzieć nie będę...

„W Nottingham odprawialiśmy misyę w kościele św. Barnabasza. Po jednem z kazań zatrzymuje mnie jakaś panienka, elegancko ubrana, i pyta po francusku, dlaczego i co to za nabożeństwo się odprawia? Objaśniłem ją, jak mogłem najlepiej; po paru minutach rozmowy daje mi kartkę ze swem nazwiskiem. Patrzę i oczom nie wierzę; na bilecie stoi wyraźnie napisane: „Marya Łubieńska“. Naturalnie przyszło do bliższej rozmowy. Tak niespodzianie poznana „kuzynka“ pochodziła z Łubieńskich, osiadłych w Poznańskiem; a w Anglii utrzymywała się z udzielania lekcyj w domu niestety! protestanckim. Do kościoła nigdy prawie chodzić nie mogła; tego dnia wyjątkowym trafem wstąpiła do kościoła, a raczej cudowna Opatrzność Boża do niego ją poprowadziła... Po niedługim czasie dostała się do zakonu; w Londynie wstąpiła do nowicyatu, gdzie wnet zapadła na chorobę piersiową, i P. Bóg skrócił jej próbę, już nie zakonną tylko, ale i ziemską...“

Parę to zdarzeń z misyonarskich wędrówek po Anglii polskiego kapłana, parę faktów, które z powodu swej nadzwyczajności głębiej się w pamięci zaryły. Ileż dopiero błąkających się, narażonych ciągle na zbłąkanie polskich owieczek znaleśćby mógł nasz misyonarz, gdyby wyłączniej mógł im pracę swą poświęcić; jak praca taka gorąca, miłością Boga i bliźniego ożywiona, mogłaby być wdzięczną i użyteczną i w owoce bogatą...

Bądźcobądź, polski Redemptorysta dorywczo tylko apostołować mógł Polaków; to też domyśleć się łatwo, z jaką radością serca powitał w pierwszych miesiącach 1882 r. polskiego

kapłana, M. Baranieckiego, który misyi tej — jak się zdawało — zupełniej i chciał i mógł się oddać. Starszy misyonarz dawał praktyczne wskazówki młodszemu; torował mu drogę polecającemi listami, ułatwiał stosunki z klerem angielskim i z polskimi wychodźcami; ks. Baraniecki odwdzięczał się krótkiemi sprawozdaniami z podjętych prac i zabiegów.

„Dziś tydzień, — czytamy w pierwszem sprawozdaniu, datowanem 1 maja 1882 r. — jak przyjechałem do Liverpoolu... Biskup polecił mię kanonikowi Van Hee, który wziął mię do siebie i poprowadził do kilku familij polskich. Zwiedziliśmy kilka domów, lecz niestety! najwięcej Litwinów i Litwinek, którzy bardzo mało, a nawet wcale nic po polsku nie rozumieją. Czystych Polaków bardzo mało; wszyscy w ciężkiej pracy we dnie i w nocy. Prosiłem ich, aby rozpowiadali na wszystkie strony, że jest ksiądz Polak, który ich chce wszystkich widzieć we czwartek w kościele, i gotów wszystkich słuchać spowiedzi. We czwartek przyszło może z ośmioro ludzi; reszta albo nie mogła, albo nie wiedziała, albo też może wreszcie i była za leniwa. Nie było co robić. Przemówiłem do nich kilka słów w szkole... W piątek wieczorem przyszło kilka kobiet, kilkoro w sobotę i kilkoro w niedzielę, tak że wszystkich było u spowiedzi 36: kobiet 20, mężczyzn 16. Kilka kobiet Litwinek musiałem słuchać przez tłómacza. Wieczorem w niedzielę, tj. wczoraj kazałem im się zebrać w szkole, powiedziałem kilka słów, dałem medaliki i koronki. Zrobili składkę, choć tego nie chciałem; było 13 szylingów, które dałem kanonikowi. Tydzień jeszcze zostanę, by szukać owieczek po Liverpoolu. Potrzebny jest koniecznie misyonarz na całą Anglię, umiejący po polsku i po litewsku; potrzebę tę wszyscy tu uznają i biskup i księża".

W następnym liście[1] wraca misyonarz do tej samej kwestyi, bardzo mu widocznie na sercu leżącej: „Biedni ludzi potrzebują bardzo księdza i opieki duchownej; daj Boże! żeby się udało zbudować przyszłą misyę polską w Anglii na lepszych

---

[1] Liverpool 4 maja 1882 r.

i trwalszych fundamentach, niż dotąd. Polacy całem, gorącem, prawdziwie polskiem sercem przyjmują księdza; i gotowi do wszystkich ofiar, byleby tylko widzieli, że księdzu chodzi rzeczywiście o ich dusze. Nawynajdowałem tu dużo polskich familij z Galicyi, których nazywają Austryakami, i dużo Słowian z Węgier. Lubię bardzo tych ludzi: silni, rośli, piękni, dobrzy to ludziska... Rozumieją nas dobrze i my ich tak samo. Słowem, krótko mówiąc, dużo jest pracy dla przyszłego misyonarza — i koniecznie go potrzeba... Wszystkich razem [1] było u spowiedzi siedmdziesięciu; wielka szkoda, że nie umiem po litewsku, bo dużoby było do roboty. Pisał kanonik do Manchesteru, do biskupa, czy mogę przyjechać; lecz przypomniało mi się później, że jest tam ksiądz Polak, Szulc, który z pewnością w potrzebie Polakom służy".

„Z Middlewich pojechałem, wespół z miłym, gościnnym ks. Tremmery, rodem z Belgii, do warzelni soli w Winsford. Sól rozpuszczoną w wodzie pompują z głębokich do 300 stóp studni, i w ogromnych żelaznych basenach wywarzają. Biedacy co tylko wrócili od 12-godzinnej ciężkiej pracy i spali. Naturalnie zerwali się zaraz na równe nogi i witali po naszemu, całując po rękach i upadając do nóg. Są to Polacy z Galicyi, z Tarnowskiego: Mazury — jak ich nazywają. Jest ich wszystkich tylko 10 chłopów, 4 kobiety i kilkanaście dzieci, z których starsze muszą chodzić do protestanckiej szkoły, bo nie masz w miejscu katolickiej. Poleciłem im, żeby się umówili na pewną godzinę, abyśmy mogli w kaplicy się zebrać i przygotować do spowiedzi; zaraz mi oświadczyli, że to pewnie nie pójdzie, bo ciągle są w pracy. Jedni kończą o dwunastej lub pierwszej w południe, aby znów zacząć o dwunastej lub pierwszej w nocy, a drudzy następują i t. d.; właściciel zaś tak surowy, że zaraz odpędza albo karę płacić każe, jeźli się kto o chwileczkę spóźni. Obiecali się jednak porozumieć i dać mi znać we środę o umowie. We środę popołudniu przyszedł chłopiec powiedzieć, że tylko w niedzielę będą mieli czas

[1] Liverpool 8 maja 1882 r.

przyjść do kaplicy; — tak tedy misya spełzła na niczem... Niepodobna tego ludu zostawić bez wszelkiej opieki i pociechy religijnej... Trzebaby o tem z biskupami angielskimi się porozumieć; trzebaby tę rzecz przedstawić naszym biskupom, kardynałowi, biskupom galicyjskim...“

Około r. 1884 odbył misyjną wycieczkę do Polaków. rozproszonych po różnych miastach i miasteczkach, na pierwszem miejscu w Winsfordzie i Liverpoolu, młody Jezuita, Kaluza (Kałusza?), który z Niemiec, wespół z zakonnymi swymi braćmi wypędzony, znalazł gościnność w Anglii — i tu przypomniał sobie zapomniane już nieco dźwięki ojczystej mowy [1]. Inny również Jezuita, ale rodowity Niemiec, O. Jakób Linden, poduczył się o tyle po polsku, że pod koniec r. 1887 mógł zacząć słuchać spowiedzi i tłómaczyć z ambony, choć nie bez trudności, najważniejsze prawdy wiary. Na święta Bożego Narodzenia i powtórnie w styczniu 1888 r. odwiedził O. Linden Polaków w Winsfordzie; dalszej pracy w tym kierunku przeszkodziło odwołanie młodego misyonarza do Holandyi. Trudne, zwłaszcza dla cudzoziemca, ale pełne chwały w obec nieba, jeżli nie w obec ludzi, stanowisko polskiego misyonarza zajął teraz O. Józef von Lassberg, profesor prawa kanonicznego w klasztorze niemieckich Jezuitów w Ditton-Hall, wiosce położonej w północnem hrabstwie Lancashire. Obok Ditton-Hall leży miejscowość Widnes, gdzie pracuje pewna liczba Polaków; tutaj to prawdopodobnie poznał O. von Lassberg po raz pierwszy biedy i potrzeby naszych wychodźców, a pragnąc im wedle sił dopomódz, wziął się z energią do nauki polskiego i litewskiego języka. Obecnie misyonarz nasz nietylko płynnie mówi i czyta, ale i pisze z łatwością w tych językach; trzyma polskie i litewskie czasopisma, zaznajomił się z naszą historyą i literaturą, a żałuje tylko, że niema sposobności do spędzenia

[1] O. Kałusza wysłany został następnie do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie wystąpił z zakonu. Obecnie pracuje podobno między Polakami w dyecezyi Lacrosse.

choć kilku miesięcy w Polsce, aby lepiej się w polskiej wymowie wyćwiczyć, przypatrzyć się polskim zwyczajom, zaznajomić się dokładniej we właściwem otoczeniu i właściwych, nie sztucznie wytworzonych warunkach, z naszym ludem, jego zaletami i wadami.

Krótki szkic niedługiej jeszcze, a tak już w owoce bogatej działalności tego prawdziwie apostolskiego kapłana, szkic nakreślony wedle własnych jego, w jednę całość splecionych notatek i listów, — najlepszym będzie bodaj obrazem dzisiejszego stanu emigracyi polskiej w W. Brytanii, najwierniejszą, o stronniczość w żadnym chyba kierunku nie podejrzaną historyą jej potrzeb i cierpień, smutnych dni, weselszych chwil.

„Bardzo wielka liczba Polaków — największa bez wątpienia po Londynie — znajduje się, a przynajmniej przed kilku jeszcze latami znajdowała się w Liverpoolu; obecnie, rachując już razem Litwinów i Słowaków, nie wliczając natomiast dzieci, będzie ich tu około trzystu; przed 6, 7, 10 laty było ich podobno do sześciuset. Począwszy od lutego 1888 r. przyjeżdżam regularnie do Liverpoolu w pierwszą sobotę każdego miesiąca i pozostaję całą niedzielę; roboty w kościele naturalnie nie brak, wielu też trzeba po domach odwiedzać. Nabożeństwo polskie odprawiam w kościele Najśw. Panny Miłosiernej na Eldon Street. Proboszcz tegoż kościoła ks. Jakób Garderer, Anglik, bardzo jest dla Polaków przychylnie usposobiony, i chętnie, w czem tylko może, stara się im przysłużyć. Odrazu też zgodził się na moją propozycyę, żeby jeden z ołtarzów przeznaczyć szczególnie dla Polaków i Litwinów, i ozdobić go obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej: „I moi angielscy parafianie — mówił — będą mogli z tego korzystać, i udawać się pod opiekę cudownej tej Matki Boskiej“. Przemówiłem do Polaków o tym moim zamiarze; — przyjęli go z radością, i zaraz zaczęli zbierać między sobą składkę. Niechże to będzie na cześć Matki Boskiej Ostrobramskiej i zbawienie polskich robotników w tym kraju!“

Krakowie

Obraz, zamówiony w ~~krakowskim klubie malarzów i rzeźbiarzów,~~ nadszedł na miejsce przeznaczenia 1 czerwca 1889 r.

„Wreszcie — ~~donosi nasz misyonarz~~ — otrzymaliśmy wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, z niewymowną radością wszystkich Polaków. Kilka tygodni minęło na rozmaitych przygotowaniach; Polacy i Litwini współubiegali się nawzajem, żeby jak najpiękniej przyozdobić i obraz i ołtarz, na którym miał stanąć. Jeden kupił bogatą kapę na akt ten uroczysty; inny, malarz z profesyi, odnowił gustownie ołtarz i wznoszącą się nad nim część muru kościelnego; inni nie oszczędzali grosza i fatygi, aby cała, bardzo obszerna świątynia na to ich święto w świątecznej okazała się szacie. W dniu przeznaczonym na poświęcenie obrazu 20 sierpnia, spieszyły już od świtu liczne gromadki Polaków i Litwinów, i zbliżonych do nich cierpieniami Irlandczyków, których tu także dosyć, do kościoła na Eldon Street. Obraz stał na tymczasowem podwyższeniu w głębi presbiteryum; dokoła paliło się mnóstwo światła; poczciwy ludek klęczał z pokorą u stóp Królowej Niebieskiej — wielu z rozrzewnienia i radości płakało. Po wotywie i kilku cichych Mszach świętych wyszła uroczysta suma; w czasie niej przemówiłem po angielsku o szczęściu parafian, że zawitał i pozostanie między nimi obraz Maryi, wsławiony cudami na dalekiej Litwie; zachęciłem wszystkich do gorącej miłości Matki Bożej. Po sumie miałem kazanie polskie; biedacy bardzo się cieszyli i serdecznie mi dziękowali. Wszakże właściwa uroczystość miała miejsce dopiero wieczorem. Po nieszporach pomodliliśmy się głośno po litewsku, i w tymże języku powiedziałem kazanie, a po sumie inny ksiądz przemówił jeszcze kilka słów po angielsku. Proboszcz Garderer poświęcił obraz, i zaczęliśmy wszyscy wspólnie śpiewać litanię do Matki Boskiej. Gdybyście mogli słyszeć, z jakiem gorącem nabożeństwem, z jakim zapałem Polacy śpiewali: „Módl się za nami!“ — to pewnie rozpłakalibyście się w tej chwili razem z nami. Procesya była bardzo uroczystą. Obraz niosło dwóch zamożnych parafian, i umieścili go na przygotowanym ołtarzu. Klękliśmy wszyscy; proboszcz odmówił po angielsku akt poświęcenia się Matce Boskiej Ostrobramskiej, a ja wespół z Polakami, powtórzyłem głośno, z wielkiem wzruszeniem serca

ten sam akt po polsku... I długo jeszcze klęczeli pobożni Polacy i Litwini przed obrazem swej Matki, polecając Jej wszystkie swe troski i cierpienia, prosząc o pomoc w tej obcej dla siebie krainie"......

Kiedyindziej kreślić musi nasz misyonarz po wycieczce do Liverpoolu innego rodzaju, nie wesołe już obrazy. Przytoczmy jedno z tych opowiadań, nie zmieniając w niczem ukształconego widocznie i na nowszych książkach i na Wujku, przenoszącego nas chwilami jakby żywcem w wiek XVI, sposobu wyrażania się piszącego, o którym, sądząc z listu tego, wierzyć niemal trudno, że tak niedawno, bez nauczyciela i pomocy po polsku zaczął się uczyć:

„Było to dnia 28 sierpnia b. r. (1888) wieczorem, gdy mi list księdza liverpoolskiego doniósł, że Polak, zapadłszy w ciężką chorobę, pragnął moich odwiedzin usilnie. Wprawdzie lekarz miał jeszcze niejaką nadzieję utrzymania go przy życiu i śmierć nie zdawała się nadejść tak prędko, chory jednakże znajdował się w wielkiem niebezpieczeństwie. W początku tego roku Słowianka umarła bez pomocy księdza; zaiste, byłoby smutno, myślałem sobie, gdyby i ten Polak, nie mówiwszy z kapłanem, umarł; — i w ogóle daleko lepiej dla księdza spieszyć się do chorego zaprędko, niżli zapóźno. Przeto jam powstał natychmiast i poruszył się w podróż. Pierwszy pociąg w Dittonie, odchodzący do Liverpoola, dowiózł i mnie dotąd około w pół godziny. Było już ciemno. Aleź drogi, prowadzące do robotników polskich, zajmujących się po większej części w cukrowniach, już dawno mi znajome — i zatem, nie trzeba było szukać domu chorego Polaka długo. Od centralnej stacyi kolei żelaznej idziemy przez dwadzieścia minut w okolicę miasta ubogą, przez wielu katolików, mianowicie Irlandczyków mieszkaną... Z głównej ulicy (Scotland Road) idziemy poboczną drogą, a ztąd ciasny i ciemny ganek prowadzi nas wtył domów na mały dwór. Otóż tam po prawej stronie mieszkanie rodziny litewskiej. Nie jeden raz zastałem tam Polaków bez roboty ni zarobku; jedni przyszli od Ameryki, drudzy zamierzali tam pojechać, byle im nie brakło pieniędzy. Na lewej

stronie mieszka poczciwa rodzina polska z Rosyi, z gubernii Grodzieńskiej; przyszła tutaj niedawno temu, ale się już dość nędzy doczekała, tak dalece, iż zimą nawet dobroczynności innych Polaków i Litwinów wzywać musiała. Jużem często pukał w drzwi tego mieszkania, i zawsze zostałem przyjęty z wielką grzecznością. Dziś znowu biłem w drzwi, — nigdy jeszcze tak późno — i zaraz się znalazłem wśród uczciwych Polaków i Litwinów, powitających mię z cicha, ale z radością niepokrytą.

— „Doprawdy, Ksiądz Jegomość nas nie zapomniał!“ — rzekła młoda gospodyni, odprowadzając mię na ciasnych schodach do pokoju, gdzie jej mąż, leżąc na łóżku, wielkie cierpiał bole. Wychodząc z nader gorącej cukrowni na zimne powietrze, nabawił się zaziębienia, które go w ciągu kilku dni przywiodło do grobu. Obok niego dwa maluczkie dzieci spały mocno i spokojnie; trzecie dziecię leżało na dole w kolebce. Ach! one się nie domyślały nieszczęścia, co im zbliżało się tak prędko.

„Wystawić sobie dobrze można, z jaką radością chory Polak mię przyjął. Chociaż bowiem tylko mało umiem mówić po polsku, jestto jednakowoż nie małą pociechą dla tych uczciwych ludzi językiem ojczystym mówić z księdzem, spowiadać się mu i odprawić z nim zwyczajne pacierze. Dlatego oczekiwał z tak wielkiem pragnieniem mego przybycia, chociaż już wyspowiadał się u drugiego księdza tak dobrze, jak można, i przyjął był św. Wiatyk i ostatnie Olejem św. namaszczenie. Spowiadał się przeto znowu u mnie z prawdziwem nabożeństwem, i odmówił ze mną modlitwy z zupełnem zgadzaniem się z wolą Bożą. Gdyż zaś już dobrze pod wieczorem było, musiałem iść, aby szukać noclegu u Jezuitów w kolegium św. Franciszka Ksawerego. Zrana potem, odwiedziwszy jeszcze raz mego chorego przyjaciela, powróciłem do Ditton-Hall.

„Następna sobota, ponieważ poprzedzała pierwszą niedzielę miesiąca września, przywiodła mię nazad do Liverpoola; ależ znalazłem tylko śmiertelne szczątki pana Józefa Kołaica, — tak się nazywał — bo umarł tego samego dnia o szóstej

godzinie rano. Pocieszyłem, jakem tylko mógł, owdowiałą jego żonę. Ale, jak smutne położenie tej młodej wdowy! Daleko od ojczyzny, nie mając ani jednego krewnego w Anglii, nie rozumiejąc języka tego kraju, — chyba, że niektóre słowa pochwyciła w codziennem życiu — została teraz sama z trojgiem dziatek w ogromnem mieście angielskiem! Bez wątpienia byłoby najlepiej wrócić do ojczyzny, w której, chociaż ojca i matkę już utraciła, rozmawiać przynajmniej mogłaby z ludźmi. Nadto ma nadzieję, że ojciec jej chrzestny starsze dzieckoby wspomagał. Lecz jak można odbyć podróż bez pieniędzy?

„Właśnie w niedzielę miałem kazanie o św. Elżbiecie, tak słynnej z cierpliwości w największych przeciwnościach. Piękne te słowa, co św. Elżbieta, wygnana z zamku, mawiała: „Teraz będzie mię pocieszać Ten, który wszystkich wdów i sierót Ojcem jest“;—i uboga Polka mogła je powtarzać z ufnością w Opatrzności Bożej. W istocie, Pan Bóg jej nie opuścił; wzbudził dobroczynność tutejszych Polaków i Litwinów, od których wdowa tyle jałmużn dostała, iż się mogła podjąć powrotu do kraju swego. Nawet angielscy katolicy przyszli jej ku pomocy; mianowicie jedna irlandzka kobieta zasłużyła na wielką pochwałę. Ona, dostrzegłszy niebezpieczny stan chorego, zawołała księdza; wdowie była pomocną w urządzeniu prawdziwie katolickiego pogrzebu; nawet swojem mieszkaniem z nią się podzieliła dla oszczędzenia komornego, i nakoniec towarzyszyła jej do kolei żelaznej. Nie wiem, jak tam biedna Polka poradzi sobie na granicy, gdzie wedle praw rosyjskich może być karaną, że opuściła kraj bez paszportu, jak zwyczajnie Polacy przychodzący tutaj.

„Do Manchesteru[1] i tworzącego z nim właściwie jedno olbrzymie miasto Salfordu, wyjeżdżam, począwszy od Wielkiego

---

[1] Następne notatki przysłał nam nasz misyonarz po niemiecku, bo — jak w jednym z obszernych swych, a bardzo ciekawych polskich listów wyraża się: „Od pisania mię wstrzymuje niemniej ilość innych prac, jak trudność języka, którym jeszcze nie władam, i dla mnie *preh!* poniekąd męczeństwem jest wyrobić tak długie listy.

Postu 1888 r., co trzeci miesiąc; na przyszłość pragnę urządzać tę misyjną wycieczkę co drugi miesiąc, ale nie wiem, czy mi się to uda. Polacy i Litwini, w liczbie około trzystu, zarabiają tu sobie na chleb robieniem pantofli; są *Slipper-makers*, jak mówią Anglicy. Żydów mnóstwo; wokoło samego Cheethamhill mieszka ich od jedenastu do dwunastu tysięcy, a największa ich część przywędrowała z Polski. O ile pamiętam, to nie spotkałem w Manchesterze żyda, któryby mię nie zrozumiał, gdym zaczął do niego mówić albo po litewsku albo po polsku. Nabożeństwo dla Polaków odprawiałem zazwyczaj w wielkim kościele St. Chads' Cheethamhill; dopiero w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia (1889 r.), gdym przez pięć dni bawił w Manchesterze, zacząłem zgromadzać Polaków do niewielkiej szkolnej kaplicy św. Wilhelma, i na przyszłość jej się już myślę trzymać, ponieważ leży bliżej dzielnicy przez Polaków zamieszkałej i mam w niej wolniejsze ręce. W niedzielę przed Bożem Narodzeniem zeszło się na nieszpory i kazanie około dwustu Polaków i Litwinów. Obecnie zamierzają oni sprawić sobie ze składek wielką chorągiew z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej z jednej, a św. Kazimierza z drugiej strony. Pod tym sztandarem gromadzić się będą, jak gromadzą się np. Włosi pod swoją chorągwią, w czasie kościelnych uroczystości i procesyj po mieście.

„Dotąd nie udało mi się jeszcze nawiedzić Polaków, pracujących w miastach: Leeds, Bristol, Sheffield i w południowych stronach księstwa Wales, gdzie — jak mi opowiadano — znajdują się w dość znacznej liczbie. Natomiast bardzo częstym jestem gościem w Widnes, miejscowości położonej w hrabstwie Lancashire, a oddalonej tylko o półtorej mili angielskiej od naszego klasztoru. Wielkie fabryki chemiczne w Widnes zatrudniają od 70—100 Polaków i Litwinów.

„W czerwcu roku zeszłego (1889) wybrałem się na misyjną wycieczkę do Polaków w Szkocyi. Pierwszą stacyą było Leith koło Edynburga. Oblaci Niepokalanego Poczęcia Maryi, pracujący przy kościele „Matki Bożej Gwiazdy Morskiej“, przyjęli mię bardzo gościnnie, i starali się wedle sił do podjętej

pracy dopomódz. Zarabia tu sobie na kawałek chleba we fabrykach cukru około 70 Polaków, przeważnie z Galicyi, kilku Litwinów i Słowaków. Mieszkają oni razem, w jednym z owych olbrzymich gmachów, zbudowanych wokoło większych fabryk wyłącznie dla robotników; w jednym, co prawda, dość wielkim pokoju mieszka dziesięciu robotników, w innym piętnastu, jeszcze w innym aż do dwudziestu. Moralność i wiara tych biedaków, obracających się wyłącznie między protestantami, między ludźmi bardzo nieraz zepsutymi, a pozbawionych wszelkiej pomocy duchownej, wystawiona jest na największe niebezpieczeństwa. Zbyt krótko niestety! bawić mogłem w Leith, a może też pobyt mój naprzód dość prędko nie zapowiedziany, wypadł w niezupełnie odpowiednim czasie, dość, że nie dał Pan Bóg takiego i tak widocznego błogosławieństwa, jak gdzie indziej. Polacy ani do kościoła się nie garnęli, ani nie cisnęli się do Sakramentów św.; zaledwie kilka osób przychodziło regularnie na nauki; prawda, że tych kilku starało się z nich całem sercem skorzystać, i przy pożegnaniu okazywali mi szczerą i głęboką wdzięczność.

„Robotników polskich, zatrudnionych przeważnie w żelaznych chutach dokoła Glasgowa, zebrać niepodobna; nie pracują bowiem w jednem, a choćby w zbliżonych do siebie miejscach, ale rozrzuceni są gromadkami po 15, 20, czasem 30 i więcej w Massend, Carnbroe, Gartsherie, Glengarnock i t. d. Punkt oparcia miałem w glasgowskim naszym klasztorze św. Aloizego; ówczesny przełożony, dziś apostolski wikaryusz w Jamajce, O. Gordon przyjął mię najuprzejmiej, i starał się po bratersku ułatwić mi podjęte zadanie. W ogóle zetknąłem się tu w czasie czerwcowej wycieczki ze 150—200 Polakami i Litwinami. Gdybym przed wyjazdem do Glasgowa mógł był przewidzieć, że z wielu Litwinami już nietylko w żadnym innym języku, ale i po polsku nie będę się mógł rozmówić, i że będę się musiał uciekać do wówczas jeszcze arcyniedostatecznej znajomości litewskiego języka, kto wie, czy potrafiłbym się był zdobyć na odwagę do tej wycieczki. Przybywszy na miejsce, nie było, naturalnie, czasu do długich namysłów i roz-

myślań: przyszedł Litwin, Litwinka—i po litewsku tylko mówią; cóż robić? odpędzić ich przecież nie można — więc trzeba próbować mówić, jak się da. Przełamawszy pierwsze lody, spostrzegłem, że idzie lepiej, niżem się tego sam mógł spodziewać; nawet na ambonie wystąpiłem z moją, bardzo naówczas słabą litewszczyzną, i miałem tę pociechę, że ludzie mię rozumieją, a za nielitościwą łamaninę bardzo mi są wdzięczni. Na nauki i do Sakramentów św. przystępowali chętnie i gorliwie. W Massend zrzekli się całodziennego zarobku, byle módz uczestniczyć w nabożeństwie; w Glengarnock, uroczej miejscowości, rozłożonej nad przeźroczystemi wodami Kilbirnoie, Loch, pracowali Polacy w liczbie około 15 przez noc całą, a nazajutrz, w drugi dzień Zielonych Świątek, od rana schodzić się zaczęli do spowiedzi. Odnalazłem naturalnie Polaków — nie mówiąc o żydach z Polski — i w samym Glasgowie; z nielicznemi wyjątkami, wielcy to biedacy; po angielsku dobrze nie umieją, to też porządnego zarobku nie mogą się spodziewać.

„Dłuższy już czas zajmowałem się Polakami, gdy dowiedziałem się, że tak ich stosunkowo wielu przebywa w Londynie. Niedawno powstała pomiędzy Tamizą, a olbrzymiemi dokami „Alberta“, nowa dzielnica Silvertown, mieści w sobie formalną litewską kolonię. Na szczęście pracuje tu od paru lat bardzo gorliwy katolicki misyonarz, Tymoteusz Ring, rodem Irlandczyk, który dla wszystkich, ale w szczególności litewskich swych owieczek ma więcej niż ojcowskie serce. Na jego wezwanie przybyłem we wrześniu (1889 r.) do Silvertown, i miałem misyę, trwającą od 21—29 września. Misya udała się bardzo dobrze; z dnia na dzień zbierała się coraz znaczniejsza liczba słuchaczów; wielu przystąpiło się do Sakramentów św., i to nietylko Litwini i zrzadka rozsypani między nimi Polacy z samego Silvertown, ale też i wielu Polaków z Whitechapel. Po raz pierwszy to, od czasu jak Litwini na tym krańcu Londynu rozbili swe wędrowne namioty, posłyszeli księdza, przemawiającego w ojczystym swym języku; niedziw, że niejedno tu było, niejedno jest jeszcze do zrobienia. Obecnie najgwałtowniej potrzebną byłaby gruntowna reforma dwóch litewskich

klubów, które w dzisiejszym swym stanie, ani celów, dla których były założone, nie spełniają, ani nie przyczyniają się do sprowadzenia błogosławieństwa Bożego na całą kolonię. Dobrej woli z żadnej strony nie brak; trzebaby tylko trochę czasu i pracy, a nie wątpię, że z pomocą Bożą dużo w tej mierze dałoby się zrobić.

„Do marca b. r. udało mi się tylko dwa razy wpaść na jeden dzień do właściwej City of London; odwiedziłem kilka polskich i litewskich rodzin. A przecież jeżli gdzie, to w Londynie, a mówiąc dokładniej, w Whitechapel, misyę koniecznie i najprędzej należało odprawić — bo tu Polaków najwięcej. Ilu? dorachować się trudno. Jakiś żydek w czasie ostatniej mej bytności w Londynie mówił o 500 Polakach; w Silvertown mieszka około 200; wszystkich razem i na przedmieściach i w City będzie może do tysiąca. Inni rachują mniej, inni więcej; rachunek — powtarzam — trudny i bałamutny, choćby dlatego, że jedni liczą, inni nie liczą dzieci i t. p.; dojdziemy z pewnością do tysiąca Polaków, nie mówiąc już o dzieciach. Bądźcobądź ucieszyłem się niemało, gdy w ostatnim czasie wybrać się wreszcie mogłem już nie na parę dni, ale na parę tygodni do Londynu; zabawiłem tu od 6 do 19 marca, a przez pięć dni następnych pracowałem w Silvertown. O „misyi“ w ścisłem słowa znaczeniu nie było co myśleć: Polacy zbyt są rozproszeni po całem ogromnem mieście, zbyt zależni, i przy robocie do późnego wieczora zajęci. Rozesłałem drukowane kartki po polsku i po litewsku z zaproszeniem na nauki i do spowiedzi [1]. Do wielu jednak domów kartki te nie dotarły,

---

[1] Podajemy dosłownie to zaproszenie:

„Misya polska i litewska

odbędzie się od dnia 8 do dnia 16 marca w kościele św. Bonifacego przy ulicy Union Street, Whitechapel, London, E.

Ks. Józef Lassberg z Towarzystwa Jezusowego będzie miał nauki i będzie słuchał spowiedzi po polsku i po litewsku.

Nabożeństwo z kazaniem polskiem będzie wieczorem o godzinie 8 w sobotę dnia 8 i 15, w niedzielę dnia 10 i 16, we wtorek dnia 11, we czwartek dnia 13.

inni, choć o misyi dowiedzieli się, zjawić się nie chcieli lub nie mogli,—tak że zmuszony byłem odwołać nauki popołudniowe o wpół do czwartej z powodu zbyt szczupłej liczby słuchaczów. W sobotę i niedzielę wieczorem zebrało się w kościele św. Bonifacego od 150—200 Polaków i Litwinów; w dnie następne, jako robocze, było ich znacznie mniej. Dzięki Bogu, że i tylu się zebrało; korzystali oni szczerze z nauk, spowiadali się, dziękowali mi serdecznie...“

Gorliwy, od Boga opatrznościowo zesłany Apostoł wychodźców naszych w Anglii marniejących, — nie zadawalniając się szukaniem tych w ścisłem słowa znaczeniu zbłąkanych owieczek, wskrzeszeniem w ich sercach wiary, sprowadzeniem na drogę cnoty, — dalej myślą sięga; opierając się na doświadczeniu w czasie polskich misyj, w zetknięciu z wszelkiego rodzaju polską nędzą zaczerpniętem, — pyta jeszcze, co zrobićby koniecznie należało, jaką nie dorywczą, ale stałą zorganizować opiekę, aby Polacy, zmuszeni w Anglii na chleb zarabiać, mogli się oprzeć wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwom, broniąc się przed śmiercią głodową, znikąd ni pomocy ni pracy nie mogąc się doczekać, nie zginęli w zbyt licznych jaskiniach złodziejów i złoczyńców, nie utonęli w żydowskiem mrowisku, w socyalistycznej fali?

„Znam i wiem doskonale, — pisze nasz misyonarz, a słowa jego wiernem są odbiciem zapatrywań wszystkich, którzy mieli

---

Nauka polska w tychże dniach o godzinie $3^1/_2$ po południu z wyjątkiem w sobotę dnia 8.

Msze święte w dni powszednie o godzinie 8 i 9, w niedzielę o godzinie 9, 10 i 11.

Spowiedzi będą słuchane codzień rano od godziny 7, wieczorem od godziny 6.

Skorzystajcie Bracia z tej misyi! — Przyjdźcie tak na słuchanie słowa Bożego, jak na przyjęcie świętych Sakramentów! — Jednego potrzeba! — Ratuj duszę swoję! — „Bo cóż pomoże człowiekowi, jeźliby wszystek świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął?“ (Matt. 16, 26).

Wszystko na większą chwałę Boga!“

Na odwrotnej stronie to samo zaproszenie, tylko ze zmienionemi godzinami, po litewsku.

sposobność przypatrzeć się bliżej naszej angielskiej i nietylko angielskiej emigracyi — wiem, jak trudno nieraz wprowadzić w czyn najpiękniej i, zdawałoby się w teoryi, najpraktyczniej obmyślane środki; tam jednak, gdzie waży się pytanie „być lub nie być“, na trudności oglądać się niewolno; a w każdym razie, zdaje mi się, że jako szczeremu waszemu przyjacielowi, milczeć mi niewolno. Czy i co dałoby się zrobić dla wychodźców, zanim zdecydują się opuścić i opuszczą granice ojczystego kraju, w to wchodzić rzecz nie moja; choć z pewnością nie brak takich, którzy lekkomyślnie granice te opuszczają, a zakosztowawszy dopiero twardego chleba w Anglii lub Ameryce, przychodzą zbyt późno do poznania, że i łatwiejszy i smaczniejszy chleb w domu mieć mogli. Na płacz się zbiera, widząc młode, niedoświadczone dziewczęta, które zwabione listem kogoś znajomego lub same dobrowolnie, spodziewając się, że łatwiej w ludnej Anglii chleb i męża znajdą, przybywają tu z dalekiej Litwy; a jeżli w czasie drogi unikną cudem licznych niebezpieczeństw, to dla wyjścia bez szwanku z londyńskich, liverpoolskich jaskiń, więcej niż cudu potrzebują. Dużo mógłbym o tem pisać; dużo mię nieszczęśliwe te stworzenia, które z domu wyjechały niewinne, bez wiadomości złego i dobrego, i trudów i kłopotów kosztowały. Gdybym umiał lepiej i bez takiego wysiłku pisać po polsku i litewsku, to dawno już rozesłałbym, przedewszystkiem na Litwę, ostrzegające listy: „Córek, sióstr waszych za żadną cenę — samych, bez odpowiedniej opieki — tu nie puszczajcie!“

„A kiedy już nieszczęście, potrzeba, a choćby nieposkromiona fantazya z domu i z kraju rodzinnego kogo wyrzuci — czyż go do niepowrotnie straconych rachować, czy raczej nie należy go na obczyźnie otoczyć opieką, przed oszustami ostrzegać, chronić przed niecnym wyzyskiem, przed materyalną i gorszą moralną nędzą, nie dozwalać na wygaśnięcie w sercu płomienia wiary, na zerwanie wszelkich węzłów, łączących z rodziną i krajem rodzinnym? Dwóch odpowiedzi być tu chyba nie może; chodzi tylko o to, co praktycznie najważniejsze i najpilniejsze?

„Spotykając się ciągle z wychodźcami, znając smutną zazwyczaj ich historyę, przyszedłem do przekonania, że wiele nieszczęść i oszustw możnaby uniknąć, gdyby w Hamburgu przebywał stale choć jeden Polak, który poświęciłby się wyłącznie informowaniu i kierowaniu emigrujących swych współrodaków. Musiałby to naturalnie być człowiek przedsiębiorczy, roztropny, ważnością zadania swego głęboko przejęty; musiałby być Polakiem, aby módz polskich wychodźców odszukać, własnym ich językiem z nimi się rozmówić, niezbędną ufność sobie zaskarbić. Opłacać powinniby go sami emigranci; gdyby to jednak z jakichbądź względów niezawsze i niezupełnie dało się przeprowadzić, to przecież, zdaje mi się, na cel tak doniosły funduszów czy to publicznych czy prywatnych, nawet w biednym stosunkowo kraju, zabraknąć nie może. Obecnie takiego — że tak się wyrażę — konsula dla polskich wychodźców niema; dlatego wpadają oni w znacznej części w ręce żydów, i w ostatecznym wyniku tam iść muszą i to robić, co się żydom podoba. W ogóle polscy emigranci mają oczy zwrócone na Amerykę; i tam podobno bieda, ale lepsza ona przecież od angielskiej, bo w Ameryce zarobek łatwiejszy, Polaków więcej, wielu też polskich księży i szkół. To też trudno tych nie żałować, którzy czy to brakiem pieniędzy zmuszeni, czy oszukani przez żydów i przez nich namówieni, nie mając i nie wiedząc do kogo po radę i pomoc się udać, zatrzymują się w Anglii, i tu dostają się przeważnie w żydowskie ręce. W czasie ostatniej wiosny (1889) widziałem w Liverpoolu całe karawany polskich emigrantów w dzielnicach żydowskich; gdyby w Hamburgu, gdyby w Liverpoolu zajął się ktoś tymi nieszczęśliwymi natychmiast po ich przybyciu, możnaby ich niewielkim nawet kosztem i staraniem uratować. W kilka miesięcy ratunek może być już bardzo trudnym; po pewnym czasie niemal czasami niepodobnym...“

Polak czy Litwin niewykształcony, nie umiejący nieraz ani pisać ani czytać, nie mówiący lub mówiący nader słabo po angielsku, a w dodatku pozbawiony religijnej pociechy, kazań, spowiedzi, — zdziczeć musi; staje się jakby narzędziem

w ręku swego pana, staje się czasem — rzecby można — na pewne tylko fizyczne potrzeby czułem zwierzęciem. Umiejący czytać, przywożą sobie z domu książki do nabożeństwa, które słusznie cenią jako najdroższy klejnot; innych dobrych książek polskich lub litewskich, brak zupełny; a tych paru, co się wygnańcami zajmują, nie mają, niestety! środków, aby brakowi temu choć w części zaradzić. Równie Polacy, jak Litwini, są w gruncie szczerze religijni, chętnie i sumiennie słuchają Kościoła, do wiary i jej obrzędów są przywiązani; ale taić sobie nie można, że z winy aż zbyt smutnych okoliczności, w jakich biedacy ci się znajdują, szerzy się między nimi zapomnienie wiary, jej praktyk, a jednocześnie i życia wedle zasad przez wiarę wskazanych. Przelotne, z konieczności krótkie nawiedziny misyonarza mówiącego po polsku, podniecają na chwilę gasnący już w sercu płomyczek; ale czyż mogą przynieść skuteczne, trwałe lekarstwo? Czego koniecznie potrzeba, jeźli garstka polskich rozbitków w Anglii uratowaną ma być od zatonięcia w morzu niewiary, zbrodni, socyalizmu, jeźli dla Kościoła, a w pewnej przynajmniej cząstce i dla kraju rodzinnego ma być zachowaną,— to gorliwego, duchem apostolskim przejętego misyonarza, który mógłby cały swój czas wyłącznie Polakom poświęcić, a nie zadawalniając się tylko pracą w polskiej kaplicy w Londynie, przebiegał w imię Chrystusa, ze słowami przebaczenia i pociechy, londyńskie zaułki, żydowskie przedmieścia, szkockie i angielskie miasta fabryczne —i wszędzie odszukiwał zbłąkane polskie owieczki, podnosił je z upadku, a wedle sił i możności usuwał przyczynę ponownych upadków.

Przyjaciel nasz — wypróbowany, bo przyjaźni swej czynami dowodzi — O. von Lassberg, spełnia w pewnej mierze taką dobrowolnie przyjętą na siebie misyę; ale sam, innymi obowiązkami obciążony, nastarczyć pracy i całego swego czasu poświęcić jej nie jest w stanie, a choćby był w stanie, to potrzebowałby jeszcze koniecznie stale mieszkającego w Londynie pomocnika. Istotnie —niezbędną potrzebę polskiego misyonarza w samymże Londynie od dawien dawna uznawali, a w ostatnim czasie z większym niż kiedykolwiek przyciskiem uznają

jednogłośnie wszyscy, którym sprawa naszego wychodźtwa w Anglii leży na sercu. W znanych nam londyńskich korespondencyach Latarnika, umieszczanych w *Kraju* [1], z jedną wciąż od lat pięciu spotykamy się zwrotką: „Trzeba księdza sprowadzić... Trzebaby kapłana, trzebaby świętego z męczeńskiem zaparciem i poświęceniem się misyonarza, któryby apostolstwem wiary i mowy ocucił te zwłaszcza w żydowskiej sieci pajęczej trzymane, trupieszejące w odrębnym pierwiastku chryzalidy i rozgrzał i podniósł“... Ta sama zwrotka wraca we wszystkich listach i opowiadaniach ludzi, którzy nędzy polskiej w Londynie i w dawniejszych i w ostatnich latach oko w oko spojrzeli; odzywa się w notatkach nakreślonych przed kilku tygodniami przez O. von Lassberg, jak odzywała się przed kilkudziesięciu latami w sprawozdaniach „Literackiego Towarzystwa“.

Potrzebę tę rozumieją również katoliccy biskupi angielscy, i robią co mogą, aby jej zaradzić. W szczególności kardynał Manning i biskup z Liverpoolu ponawiali w ostatnim czasie starania o sprowadzenie do Londynu i do Liverpoolu polskich księży — wszakże bezskutecznie. W seminaryum liverpoolskiem uczy się obecnie bardzo utalentowany kleryk, Mr. Hughes, języka polskiego, a podobno i litewskiego za zachętą miejscowego biskupa i z hojną pieniężną pomocą na potrzebne książki. Kleryk ten za parę miesięcy otrzymać ma święcenia kapłańskie, a tak jest wszelka nadzieja, że robotnicy nasi w Liverpoolu będą już mieli niezadługo stałą opiekę duchowną. Czy i w londyńskiem seminaryum uczy się kto po polsku? Nic o tem nie słychać, i dziwić się temu nie można, choćby ze względu, że jeźli w całej Anglii, to zwłaszcza w stolicy wielki brak księży, i na każdego czeka aż za wiele ściśle obowiązkowej pracy. Ani wątpić zresztą, że znalazłby się jakiś gorliwy polski kapłan, któryby się nie zawahał apostołować w Londynie, gdyby tylko miał jakkolwiek zapewnione materyalne utrzymanie. O tę przeszkodę — smutno to wyznać — rozbijały się

[1] *Kraj* r. 1886, nr. 32; r. 1889, nr. 44.

dotychczas kilkakrotnie najlepsze chęci: ksiądz żyć przecież musi, mieć musi choć kawałek suchego chleba dla ratowania rodaków od głodu i gorszej od głodu hańby, a kawałka tego chleba nie dadzą mu ani biedni Polacy w Londynie ani Anglicy, którzy wprost i bez ogródek stawiają zasadę: Polacy Polakom powinni w pomoc przychodzić. Zdarzyć się naturalnie mogą i zdarzały się wyjątkowe jałmużny, ale na nie liczyć nie można: dopóki szlachetna jakaś fundacya nie zabezpieczy losu polskiej misyi i kaplicy w Londynie, dopóty nie będzie jej zupełnie, jak, niestety! niema w tej chwili; lub w najlepszym razie zawieszoną będzie ciągle — jak w dawniejszych latach — między życiem a śmiercią.

Misya polska — oto pierwsza, ale nie jedyna potrzeba. Drugą, niemniej odczutą i ważną, choć trudniejszą może jeszcze do wykonania,— to sprowadzenie do Londynu paru polskich zakonnic, któreby gromadziły w swej ochronce dzieci polskie, nie dozwalały im zapomnieć języka i wiary, u których nieszczęśliwe dziewczyny, do otchłani żydowskiej głodem pędzone, haniebnie wyzyskiwane szwaczki, guwernantki bez lekcyj — znaleśćby mogły choć parodniowe wytchnienie, ratunek w ciężkiej chwili, dobrą radę, słowo opamiętania przed wskoczeniem do przepaści. Kilka polskich „Służebniczek“ dostało się do Walmer, w okolice Doveru, i mają tam nawet steranego zresztą pracą i wiekiem polskiego kapelana ks. Daniewskiego; gdy więc już polskie zakonnice założyły swą kolonię w Anglii, gdy kolonie ich kwitną i rozwijają się w Ameryce — czyż byłoby niepodobieństwem, aby i nad Tamizą namiot swój zatknęły, i poszły i tam ratować, co jeszcze można uratować?

Czy i kto założy trzy te forty, które jedynie obronić będą mogły wychodźców naszych angielskich od pewnej zguby: misyę, szkołę, ochronę i dla dzieci i dla starszych, ochrony przed nagłem niebezpieczeństwem potrzebujących; czy znajdą się chrześcijańscy rycerze, którzyby w fortach tych bronili do ostatka tego naszego dalekiego, ale nie daj Boże! straconego posterunku? Tyle ze wszech stron i bliskiej i ciężkiej nędzy

przed oczy się ciśnie i o pomoc się dopomina, że troska o tych braci naszych z za morza mogłaby się komu zdawać w chwili zniechęcenia zbytkiem, na który nam pozwalać sobie niewolno. Ale taka małoduszna przezorność, to dobrowolne zacieśnianie granic, i tak do zbytku przez innych i z innych przyczyn skurczonej ojczyzny, — to wyrzeczenie się wspólności i solidarności z naszemi rozrzuconemi po świecie, wciąż, chcemy czy nie chcemy, mnożącemi się koloniami, — to odrzucenie żywiołów, które pracy się nauczywszy, w zachodniej energii i praktyczności się skąpawszy, mogą nam oddać — jeźli wierne zostaną polskiemu imieniowi i ideałom — nieocenione usługi: sieją przyszłej, oczyszczonej, pracowitej Polski siew. Powinnością więc naszą i to nie z jednego względu, — powiedzieć można z samegoż dobrze zrozumianego interesu metropolii względem swych, choć nie dobrowolnie założonych kolonij — podawać rękę pomocną braciom naszym, na obczyźnie rozproszonym.

A jeźli gdzie i dla kogo, to dla braci naszych w Anglii rozproszonych, szybka pomoc jest niezbędną. Tracą tam oni zbyt często, nieraz już w pierwszej generacyi, język ojczysty; w drugiej ledwie wiedzą, że przodkowie ich z dalekich słowiańskich krajów przybyli; dobrze, jeźli wiedzą, że chrzest przyjęli z rąk katolickiego kapłana. W domach, w których żona lub mąż jest Anglikiem, panuje zazwyczaj wszechwładnie język angielski; zdarza się, że dzieci wykształconych, osobiście najżarliwszych Polaków nie umieją słowa po polsku. Stowarzyszenia polskie, niegdyś kłócące się, dziś nawet żywszą kłótnią znaku życia nie dają; „Towarzystwo literackie“ utraciło nie od dziś dawne znaczenie: wszak wyrażono się o niem bodajby za pesymistycznie, że jest sławnego imienia cieniem. Jeźli polscy kapłani, nauczyciele, polskie książki, starania, a mówiąc bez ogródek, polskie pieniądze emigracyjnemu temu posterunkowi na odsiecz nie pospieszą, — to dziś już wyrachować można godzinę, w której rozpłynie się bez śladu w angielskiej ludności, w irlandzkim lub żydowskim proletaryacie, w prote-

stanckich i żydowskich sektach. Czyż dozwolić można, aby dla tych kilku tysięcy ziomków naszych, co dotąd wbrew i mimo wszystkiego wyznawać nie przestali, że Bóg i ojczyzna narodów sumieniem i zbawieniem — aby wyróść miał dla nich ze smutnych okoliczności, w jakich się znajdują, i z braku pomocy od nas spleciony dantejski napis: „Tu niema nadziei?“







NAKŁADEM REDAKCYI „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO".